Nr. 199. Lwów — Piątek dnia 1 Września. Rok 1905.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.
Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h. w Niemczech 3 „ „ w innych Państwach 4 „ „ Za zmianę adresu dopłaca się 40 h. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k. Numer kosztuje we Lwowie 8 h. na prowincyi 12 h. Numera z poprzednich dni po 20 h.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki

Ogłoszenia i przedpłatę miejscową przyjmuje wyłącznie Agencya dzienników Sołobwskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.
Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h. W drobnych ogłoszeniach: tłustym petitem za każde słowo 4 h. tłustym garmondem 6 h. koresp. prywatne 8 h. Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce 60 h. Reklamy po kronice wiersz petit 1 k. Ogłoszenie na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy 60 h.

Dziś: Piątek | św. Idziego Op. | Tekli
Jutro: Sobota | św. Justa B. | Samuela Pror.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.** | Rękopisów Redakcya nie zwraca. | Wschód słońca o godz. 5 m. 23, Zachód „ „ 6 m. 35 | Długość dnia godzin 13 m. 12, Ubyło dnia od wczoraj 2 m.

Młodociani zbrodniarze.

(I. Okropne cyfry).

Młodociani, czyli tzw. nieletni zbrodniarze są z pewnością najsmutniejszym objawem społecznym. A to dlatego, że zbrodnie popełniane przez nieletnich świadczą albo o niezdrowiu otoczenia, którego ofiarą padły już nie jednostki lecz domowe ogniska, wszczepiające dziecku przez przykład lub swoją atmosferę podkład zbrodniczy, albo o wadliwym lub obec gruntownie zaniedbanym wychowania domowego, o braku mogącego go zastąpić wychowania publicznego. Nadto pod względem praktycznym liczyć się należy z tem, że podczas kiedy zwykły zbrodniarz często staje się nim przypadkowo, a w przeważnej liczbie wypadków, bez względu na to z jakich motywów sięgnął do zbrodni, może nie nosić w sobie tzw. „pierwiastku zbrodniczego“ — to przeciwnie u młodocianego przestępcy zawsze gra rolę to, co zwykło się nazywać owym pierwiastkiem zbrodniczym. „Mały“ zbrodniarz z reguły zostanie „wielkim“ zbrodniarzem. Właściwie zbytecznem jest to uzasadniać, wszak od dawna uznano, że „czem skorupka za młodu nasiąknie, tem na starość trąci“. Dla jaskrawego jednak uwydatnienia różnicy pomiędzy dorosłym i młodocianym zbrodniarzem przytoczyć można ogólny przykład. Człowiek jakiś, przypuśćmy ojciec rodziny, po wielu latach nienagannego życia, np. nędzą do tego zmuszony, chwyta się występku. Czy ten człowiek jest bezwarunkowo straconym? Nie! Chodzi tu raczej o to, czy społeczeństwo, ukarawszy go, poda mu potem rękę pomocną do podźwignięcia się z moralnego upadku, czy odepchnie go z piętnem przestępcy i w ten sposób pogrąży w upadku. Chodzi tu tedy o kwestyę objektywną; subjektywnie taki człowiek raczej spodziewać się pozwala po sobie dobrych chęci powrotu do dobrego. A przypuśćmy nawet, że człowiek ten się nie podźwignie z upadku, to w każdym razie raczej uważać go należy za człowieka nieszczęśliwego, niż za zbrodniarza, takiego, który nie ma danych do podźwignięcia się z upadku wbrew sprzyjających okoliczności. A przyjrzyjmy się synowi tego człowieka. Bardzo prostym i zrozumiałym biegiem wypadków chłopak ten stał się również przestępcą. Patrzył on na występek ojca lub słyszał o nim, w dziecińskim jeszcze wieku oswoił się z myślą, że „można“ siedzieć w więzieniu, otarł się z tą „sytuacyą towarzyską“ w jakiej znaleźć się musi syn zbrodniarza, ukaranego więzieniem; na tem tle wpływ ulicy i zaniedbanie wychowania rozwinął się i popchnął młodzieńca do zbrodni. A ta zbrodnia nie ma już tego charakteru, co u jego ojca. Ona nie przedstawia mu się tak jak jego ojcu, jako coś strasznego, lecz raczej coś naturalnego, jako coś, co „nowego“, ot takie *sich vertragen*. Tę predystynacyę moralną nazwać można pierwiastkiem zbrodniczym. Ten chłopak będzie zbrodniarzem z zawodu, niezdolny do zbrodni nieznacznie w chwili potrzeby, chwyci się jej nieraz bez potrzeby ot dlatego, że przywykł do niej, że w końcu może i rozsmakował w niej, jako w łatwym źródle zarobku i środku do życia. Ten „mały“ zbrodniarz będzie „wielkim“ zbrodniarzem i to niezawodnie.

Ależ do stwarzania młodocianych zbrodniarzy nie potrzeba jest koniecznie aż tak skomplikowanych okoliczności. Bywają nimi często i dzieci ludzi, którzy nie zaszli aż do więzienia. Sam fakt zaniedbanego wychowania dzieci rodziców, którzy przez cały dzień po za domem pracują na chleb, wystarczy by dzieci te rzucić na pastwę strasznego wpływu ulicy i znieprawić je moralnie lub raczej wogóle wychować niemoralnie. A cóż dopiero dzieje się w duszy dziecka, gdy w domu widzi ono wieczór ojca a nieraz i matkę pijaną, słyszy ich kłótnie ordynarne lub przypatruje się, jak rodzice sami zamiast jąć się uczciwej pracy, żyją z włóczęgostwa i żebraniny, widzi przychodzące do domu rodziców różne wstrętne indywidua, słyszy ich ohydne rozmowy. Taki chłopak czy dziewczyna wychowuje się na zbrodniarza lub zbrodniarkę. Wcześniej lub później przychwycą jego czy ją na kradzieży, na oszustwie na jakimkolwiek występku i wsadzą do aresztu. Towarzystwo starszych zbrodniarzy w więzieniu dokona reszty w moralnem ukształtowaniu się duszy na razie „małego“ jeszcze zbrodniarza.

A ilu jest tych „małych“ zbrodniarzy zliczyć trudno. Z powodu bowiem poprostu fizycznej i materyalnej niemożności rzadko tylko mogą się oni dopuszczać przekroczeń takich, za które aż sądy karzą. Mimo to liczba ukaranych przez sądy jest wielka. Z sądowych statystyk okazuje się, że za zbrodnie, a więc nie za tzw. przewinienia, występki i przestępstwa, lecz za przekroczenia kodeksu karnego takiego kalibru, ukarały sądy w Galicyi w roku 1892 dziewięćdziesięciu dwu nieletnich przestępców, w r. 1893 dziewięćdziesięciu i tak dalej w stopniowaniu *in plus* z roku na rok w r. 1900 już 192, w r. 1901 — 224, w r. 1902 — 272. Jeśli uprzytomnimy sobie ile fizycznie i materyalnie olbrzymio trudno jest, by kilkunastoletni chłopak mógł się dopuścić oszustwa wyżej 100 koron, gwałtu publicznego, zbrodni erotycznych, sprzeniewierzenia większej kwoty itp. przekroczeń kodeksu karnego w tak ciężkim i wielkim stopniu, by je prawo aż jako *zbrodnie* kwalifikowało, to zrozumiemy, że przytoczone cyfry są tylko drobnym procentem rzeczywistej cyfry młodocianych zbrodniarzy, którzy potem, gdy daną jest im w późniejszym wieku fizyczna możność zbrodni, w kilkakrotnie większych cyfrach figurują w wykazach kryminalnych.

Statystyki, dotyczące Galicyi, nie podają ilu ukarano za występki i przestępstwa, również nie podają cyfry tzw. recydywistów tj. nałogowych przestępców ukaranych za przekroczenia mniejsze, niż zbrodnie. Musimy się więc posługiwać tylko cyframi dotyczącemi „zbrodniarzy“ w literalnem tego słowa znaczeniu, t. j. ukaranych przez sądy za najcięższe przekroczenia. Takich zbrodniarzy ukarano w Galicyi w dziesięcioleciu 1892—1901 razem 5892, a wśród nich było 2140, a więc niemal 40% takich, którzy po raz pierwszy za zbrodnię byli ukarani w wczesnej młodości i wrócili do niej już jako nawykli od młodu recydywiści. W poszczególnych latach stosunek ten przedstawiał się następująco:

	Ogółem skazano zbrodniarzy w roku	w tej liczbie było takich już ako nieletni zbrodni	którzy dopuścili się
1892	698	293	41·9%
1893	665	236	35·7%
1894	749	274	36·5%
1895	635	227	34·5%
1896	510	175	34·2%
1897	477	178	37·2%
1898	535	175	32·6%
1899	609	190	31·1%
1900	483	203	42·1%
1901	531	189	35·1%

Cyfry te nie dają nam dokładnego pojęcia o rzeczywistej liczbie młodocianych przestępców, dotyczą bowiem — jak wspomniano — tylko „zbrodniarzy“. Statystyka podaje też i cyfry przestępstw i występków, lecz tylko dotyczące całej Austryi. Ponieważ zaś w innych krajach Austryi pod względem opieki nad zaniedbanemi i niemoralnemi dziećmi są zgoła inne stosunki, niż w Galicyi, przeto tych danych do Galicyi stosować nie można. Podnieść jednak należy uderzający na pierwsze wejrzenie wytrwały wzrost liczby nieletnich przestępców. Wzrost ten nie jest gwałtowny, lecz za to z roku na rok wytrwały i konsekwentny, a mianowicie mniej więcej o $1/2\%$ co roku powiększa się procentowy stosunek liczby nieletnich przestępców do ogólnej liczby przez sądy skazanych. Dla illustracyi wystarczy przytoczyć, że w Austryi skazano za wszelkiego rodzaju przekroczenia kodeksu karnego w roku 1898 — 1.026 małoletnich przestępców w wieku lat 12, 13 i 14-tu, a więc dzieci poprostu, w r. 1899 — 1.015, w r. 1900 — 1.032, a w r. 1901 — 1.129. Liczba starszych ponad 14 lat, a młodocianych jeszcze przestępców przewyższa te cyfry przeciętnie siedmiokrotnie.

Dogorywające stronnictwo.

Budapeszt 28 sierpnia.

(:) Szyderstwami i obelgami powitała koalicya opozycyjna i jej organy prasowe ostatnią uchwałę stronnictwa liberalnego, wedle której w razie gdyby przyszła do skutku koncentracya żywiołów, stojących na gruncie ugody z roku 1867, to stronnictwo to „nie chcąc stać na przeszkodzie osiągnięciu wyższego celu, gotowe jest poświęcić swoją samoistną organizacyę partyjną“ — czyli rozwiązać się. A zatem kohorta hr. Stefana Tiszy gotowa jest zwinąć swój obóz, ale za warunek stawia, ażeby przedtem ci politycy, którzy należą do koalicyi, a oświadczają, że pragną utrzymania dualistycznego ustroju monarchii, zawiązali nowe stronnictwo, a wtedy niedobitki liberalnej armii połączą się z niem. Tymczasem koalicya o żadnych warunkach przyjaciół hr. Tiszy słyszeć nie chce, ani w żadne pakty z nimi się wdawać. Dopiero gdy znienawidzone w kraju stronnictwo liberalne zupełnie istnieć przestanie — dopiero wtedy kwestya koncentracyi zwolenników ugody z roku 1867 może być aktualną — oto ultimatum koalicyi — a właściwie mówiąc dessydentów z obozu liberalnego, należących obecnie do niej, gdyż Koszutowcy, jak wiadomo, mają zupełnie inne ideały polityczne i nie myślą o koncentracyi na podstawie ugody z r. 1867.

Rezultatem tedy ostatniego fermentu jest, że stronnictwo liberalne, któremu już śpiewano pieśń pogrzebową, istnieje nadal i wedle zapowiedzi swego wodza, hr. Stefana Tiszy, odgrywać chce w przyszłem życiu politycznem Węgier rolę poważnej opozycyi parlamentarnej, mniej więcej taką, jaką odgrywali w parlamencie angielskim wigowie, gdy torysi byli u steru, lub na odwrót torysi, gdy wigowie stanowili większość. Tak pragnąłby hr. Tisza — pytanie jednak, czy rzeczywistość spełni to jego życzenie. Upadek bowiem stronnictwa liberalnego postępuje z niesłychaną szybkością, i nawet żelazna, powiedzieć można wprost brutalna energia hr. Tiszy, nie jest w stanie mu zapobiedz. Pominąwszy klęskę, poniesioną przy ostatnich wyborach, zmalała liczba członków obozu liberalnego skutkiem dobrowolnego wystąpienia prawie o jedną trzecią część, do tego wystąpili przeważnie ludzie najpoważniejsi, rzec można politycy pierwszej klasy, pozostały zaś nadal pod komendą Tiszy prawie same miernoty. Jeszcze przed ostatnią konferencyą, odbytą w ubiegłym tygodniu, liczyło stronnictwo liberalne 137 członków, dziś nie ma ich już nawet 120, a zachodzi obawa, że w dniu rozpoczęcia nowej sesyi sejmowej, tj. 15 września, nie będzie już może nawet okrągłej setki. Słowem, to ogromne niegdyś stronnictwo, liczące swego czasu przeszło 300 posłów i powołane do podtrzymywania i kontynuowania wielkiego dzieła ugodowego, stworzonego przez patryotów tej miary, co Deak i Juliusz Andrassy (ojciec), umiera stopniowo. A samo sobie zgotowało upadek, bo zamiast stać wiernie przy programie Deaka i myśleć tylko o wewnętrznem odrodzeniu ojczyzny, przez dziesiątki lat wysługiwało się tylko masoneryi, i wszystkie swe siły wytężało na walkę z Kościołem katolickim i jego urządzeniami. To wykolejenie obozu, powołanego w pierwszym rzędzie do strzeżenia ugody, zaczęło się za rządów starego Kolomana Tiszy, ojca Stefana, który sam zagorzały kalwin, potrafił, mając przez lat kilkanaście ster władzy w swym ręku, uczynić z większości parlamentarnej narzędzie sekciarskie. I długie lata walki strawiono na to, aby katolickim urzędom parafialnym odebrać prawo prowadzenia metryk i zaprowadzić śluby cywilne na Węgrzech. Dla przeprowadzenia tego celu zawichrzono kraj cały i nie cofnięto się przed żadnym środkiem korupcyi i gwałtu. Dziś zeszły owoce tego nienawistnego posiewu: zrozumiałem jest bowiem, że takie ideały nie mogą porwać za sobą tłumów i że w końcu kraj odwrócił się od liberałów, a poszedł za tymi agitatorami, którzy operując w patryotyzmie, podnieśli bardziej sympatyczne, chociaż także puste hasła.

Jakkolwiek w gruncie rzeczy nie ma powodu ronić łez nad upadkiem stronnictwa liberalnego, to jednak ze stanowiska ogólno-państwowego fakt, że stronnictwo to nie rozwiązało się, lecz zatrzymuje jeszcze nadal swą organizacyę, uważać należy jako dodatni. Gdyby bowiem stronnictwo liberalne naraz zupełnie zniknęło z widowni, w takim razie koalicya mogłaby szczycić się tem, że cały kraj stoi za jej programem wojskowym, a więc jest za rozdarciem armii wspólnej, w obecnych zaś warunkach nie ma na razie widoków na to, aby w łonie koalicyi mogła przyjść rychło do skutku konferencya żywiołów, stojących na gruncie ugody z r. 1867. Tymczasem fakt, że przecie jest jeszcze dosyć liczne a już zorganizowane stronnictwo, które na czele swego programu politycznego stawia utrzymanie tej ugody, może mieć dla dalszego rozwoju wypadków politycznych niepoślednie znaczenie. Ewentualnie bowiem względy konkurencyi politycznej przyspieszyć mogą tak pożądaną przez wszystkich kraj miłujących obywateli koncentracyę żywiołów umiarkowanych, pragnących utrzymania jednolitej i potężnej monarchii. Gdyby powstanie takiego nowego obozu politycznego, którego konturów niestety jeszcze nie widać, okupionem zostało zupełnem pogrzebaniem stronnictwa liberalnego, byłoby to dla Węgier szczęściem prawdziwem.

Pour le roi de Prusse.

Niedawno pojawiła się w Berlinie broszura, która wiele narobiła hałasu, nietyle swoją wartością, ile raczej bezczelnością. Broszura ta nosi tytuł: „Przesilenie węgierskie a Hohenzollernowie“. Jako jej autor figuruje na karcie tytułowej „profesor Julius von Zeisig“. Autor tej broszury omawia wewnętrzne rozterki w łonie Monarchii austryacko-węgierskiej i wzywa mocarstwa do podziału Cislitawii, zaś z Węgier utworzenia samodzielnego królestwa, które stanie na czele przyszłej federacyi państw bałkańskich, a którego dynastyę utworzyć winien któryś z członków domu cesarza Wilhelma II. Autor wywodzi między innemi w owej broszurze, że rola, jaką Opatrzność w tym procesie w Austryi przydzieliła Hohenzollernom, obejmuje przeprowadzenie dwóch ważnych zadań: pierwszem byłoby uniemożliwienie utworzenia koalicyi ludów słowiańskich w Austryi, drugiem wyniesienie Węgier do rzędu samodzielnego królestwa. Wilhelm II może wskrzesić czasy węgierskiego imperyalizmu, jaki istniał za dynastyi andegaweńskiej pod Ludwikiem I-szym, jeżeli na tronie Węgier osadzi Hohenzollerna. Najtrzeźwiejsze obliczenia polityczne wykazują, że interesy Węgier są na całej linii zgodne z interesami Hohenzollernów. Niezawisłość i państwową samodzielność Węgier tylko Hohenzollernowie ocalić mogą. Zadaniem Węgrów powinno być ostateczne pogrzebanie „strupieszałego cielska dzisiejszej monarchii austro-węgierskiej“ — jak się autor wyraża — bo tylko „na grobie tego trupa“ Węgry odżyć mogą do dawnej potęgi i świetności.

Na pierwszy rzut oka zaliczyć można tę broszurę do rzędu tych dziwactw rozmaitych domorosłych polityków o pełnych głowach pomysłów, z któremi nikt się nie liczy. A jednak są pewne objawy, które pozwalają przypisywać jej pewne znaczenie. Wszak przed dwoma laty ktoś gorliwie i obficie rozrzucał po Węgrzech fotografie drugiego syna cesarza Wilhelma Eitel-Fritza z podpisem „król węgierski“, wszak nieraz przebąkiwano na Węgrzech o separatystycznych zamiarach pod hasłem Hohenzollernów. Broszurę Zeisiga rozrzucono po Węgrzech w wielkiej liczbie egzemplarzy. Zwróciła na nią przedewszystkiem uwagę ta okoliczność, że autor piszący po niemiecku, przecież wykazał znakomitą znajomość węgierskich stosunków. Dość, że broszura wzbudziła na Węgrzech olbrzymią sensacyę. Na tle zaciętej nienawiści między stronnictwem liberalnem a koalicyą, powstały natychmiast obustronne podejrzenia.

W redakcyi *Az Ujsag*, przybocznego organu hr. Tiszy, wykombinowano natychmiast, że dopuścić się napisania tej broszury mógł tylko ktoś z koalicyi. Redakcya więc natychmiast telegraficznie poleciła swemu korespondentowi w Berlinie zbadać, kto jest ów profesor Zeisig. Korespondent poszedł do nakładcy i dowiedział się, że Zeisig jest sfingowaną figurą, a manuskrypt broszury wraz pieniędzmi na koszta druku nadszedł z Budapesztu. Nakładca broszury okazał się tak usłużnym, że sprzedał korespondentowi budapeszteńskiego dziennika rękopis broszury. Korespondent przesłał go do redakcyi *Az Ujsag*, która zwołała ekspertów, by zbadali czyje jest pismo. Eksperci orzekli, że pismo jest niejakiego Weissa, redaktora *Budapester Tagblattu*. *Az Ujsag* bez wahania ogłosił to orzeczenie rzeczoznawców, będące oczywiście ciężkiem oskarżeniem Weissa i przed opinią i przed prawem. Weiss jest stronnikiem politycznym i zaufańcem hr. Apponyi'ego, tak, że jego kompromitacya nie mogła bez plamy pozostawić i hr. Apponyi'ego. Weiss kategorycznie wyparł się autorstwa i zaskarżył redakcyę *Az Ujsag* do sądu. Tymczasem sprzyjające mu dzienniki puściły w kurs wręcz przeciwną wersyę, a mianowicie, iż to liberali napisali ową broszurę, a manuskrypt Weissa sfałszowali, aby jego i hrabiego Apponyi'ego skompromitować.

Tymczasem Weiss zarządził dochodzenia, które rzekomo wykazać miały, że broszurę tę napisał pewien dziennikarz berliński nazwiskiem Mendel, lecz że obstalunek i honoraryum otrzymał z Węgier, a Weiss twierdzi także, że broszurą tą niezwykle zainteresował się niejaki Aleksander Banerth, dyrektor „spółki eksportowej król.-węg. monopolu tytoniowego“, będący znów zaufańcem właściciela tej spółki barona Piotra Herzog Csete. O ile te wersye, kolportowane przez dzienniki przyjazne Weissowi, polegają na prawdzie lub nie, tak samo trudno osądzić, jak, czy redakcya *Az Ujsag* skłamała lub napisała prawdę.

W każdym razie wspólne mają obie wersye to twierdzenie, że broszura ta, czy ją napisano w Budapeszcie czy w Berlinie, przecież inspirowaną była z Węgier i znalazła tam patronów. A niezwykle już znamiennem jest stanowisko prasy, stojącej na usługach koalicyi wobec tej broszury. Wszyscy to stwierdzają, że znalazła się ona w pewnem... zakłopotaniu. Żadno z pism wprawdzie nie ośmieliło się jej pochwalić, lecz też żadno nie umiało czy nie chciało jej odpowiednio wymownie potępić. Może niektórym politykom węgierskim przyszła ta enuncyacya nie w porę, lecz z milczenia ich widać, że w końcu nie są oni niezadowoleni z tego, że w chwili obecnego przesilenia padła taka pogróżka. Dla nas jest to wyrazem i miarą do jakiego stopnia dojść musiało na Węgrzech roznamiętnienie i zaślepienie, skoro nawet wobec takiej ohydy, jaką jest ta broszura, żaden z węgierskich patryotów nie umiał zająć odpowiedniego stanowiska, a ten i ów może w zaślepieniu uczuł

---

4)

Najmądrzejsza z kobiet

(Z angielskiego).

(Ciąg dalszy).

Mimowolny okrzyk z ust mi się wyrwał. Oschły i zimny Barbour wykrzesał ze swego serca tak gorące słowa uwielbienia!

Czary! Istne czary!

Odłożyłem list na bok i spojrzałem na klientkę. Siedziała z rękoma skrzyżowanemi na piersiach, z błyskiem tryumfu w oczach.

— Co pan o tem myśli? — spytała zwycięsko.

Utopiłem wzrok w twarzy starej panny; pomimo najlepszych chęci, nie mogłem w niej odkryć najmniejszego powabu.

— To dziwne! — szepnąłem.

— To więcej niż dziwne! To skandaliczne! — zawołała, a w głosie jej, obok gniewu, dźwięczał tryumf. — Przybywam do pana z prośbą o obronę od prześladowców, a pan mi przysyła... aż dwóch nowych.

— Jakto! — zawołałem zgorszony — czyżby i pan Gobbett, człowiek żonaty...

— Nie prosił mnie o rękę — odparła miss Carlingford z godnością — i niczem nie uchybił obowiązkom grzeczności, winnym damie od gentlemana, ale i jemu nie śpieszno było odjeżdżać z Frensham — o! bynajmniej — dodała ze znaną mi już zalotnością.

— Wiem, wiem — mruknąłem. — Jakże pani to sobie tłómaczy? — dodałem.

— Nie mam pojęcia, dlaczego ci gentlemenowie prześladują mnie swemi hołdami.

Mówiąc to, przechyliła głowę, spuściła oczy i wyglądała na karykaturę dziewiczego zakłopotania.

Porwał mnie gniew na starą waryatkę

— Może pani żąda, abym sam osobiście pojechał do Frensham i zobaczył: jaka jest rada na dziwne, istotnie, kłopoty pani — rzekłem z najwyższą ironią.

Nie uchwyciła tego odcienia, natomiast uchwyciła się projektu.

— Po to właśnie przybywam — zawołała.— Wszak od początku prosiłam pana, abyś pan sam zjechał na miejsce.

Podżyła Dalila widocznie zastawiała na mnie sieci.

— Tymczasem — rzekła — zechciej pan powiedzieć panu Barbourowi, że nie życzę sobie otrzymywać dowodów jego uwielbienia i że poczytuję ten list za duże uchybienie etykiecie i względom należnym przyzwoitej damie.

Mówiąc to jednak, wzięła epistołę z biurka, złożyła ją starannie i wsunęła do ogromnego ridikiulu. Był to jeden skalp więcej, zdobyty na nieprzyjacielu. Wyklejała może niemi ściany swej bawialni.

Obiecałem zgromić zapalczywego dependenta i umówiłem się z nią, że przybędę do Frensham za dwa dni.

Odeszła, zostawiając mnie mocno zdumionego Nie ulegało już wątpliwości, że to ona sama — nie zaś jej służąca — jest przedmiotem męskich zachwytów. Więc musi być chyba nadzwyczaj bogatą.

Wkrótce zjawił się Łukasz Barbour. Słuchał moich wyrzutów spokojnie, lecz nie wyjaśnił mi, na czem polega tajemniczy urok miss Carlingford. Wymawiałem mu, że gotów był sprzedać się starej i brzydkiej „babie“. Odpowiedział mi na to z wielkiem oburzeniem, że o bogactwie miss Carlingford nic nie wie i że chciał się z nią żenić dla jej osobistych zalet.

Tego już było za wiele. Dałem mu do poznania, że nie znoszę takich żartów. W ciągu dnia zwykły spokój kancelaryi był wciąż mącony ostrymi zatargami pomiędzy nim a p, Gobbettem.

Nazajutrz dostałem ataku podagry i nie mogłem wyruszyć do Frensham. Postanowiłem wyprawić mojego trzeciego dependenta, Willaby Darke, polecając mu nietylko przeprosić miss Carlingford, że nie stawiam się na słowie, lecz nadto przywieźć mi klucz zagadki.

— Mam nadzieję, że pan nie padniesz ofiarą wdzięków starej panny, tak, jak mr. Gobbett i Barbour — mówiłem.

Darke spuścił głowę i pokręcał wąsika. Był to młodzieniec bardzo przystojny.

— Będę się bronił urokom — rzekł poważnie — ale przyzna pan mecenas, że muszą być wielkie, jeżeli zdołały skruszyć serca tych dwóch ludzi.

Cały sztab mojej kancelaryi wiedział już o rywalizacyi dwóch starszych dependentów, gdyż objawiali niechęć do siebie wzajemną w sposób gwałtowny i nie licujący z ich powagą.

Przyznaję, żem czekał powrotu ostatniego emisaryusza z zaciekawieniem wielkiem. Byłem pewien, że on mi wreszcie wyjaśni zagadkę. Ziścił moje nadzieje o tyle, że wrócił *punktualnie* nazajutrz, lecz gdym go zapytał: o co im wszystkim chodzi, uśmiechnął się i mówił, bawiąc się kapeluszem:

— Miss Carlingford mieszka istotnie w malutkim domku i nie wydaje się być bogatą Ale jest miłą i pełną wdzięku.

— Co? Co? — zawołałem osłupiały — nie chcesz się pan chyba z nią żenić?

— Nie, naturalnie, daleko starsza odemnie, lecz gdybym był w wieku Barboura lub p. Gobbetta...

Zbrakło mi już cierpliwości.

— Widzę, że wszyscy trzej macie słabe głowy — zawołałem — sam pojadę i osobiście przekonam się, czem nęci mężczyzn, jak plaster miodu — muchy.

Pod wąsikiem Darka dostrzegłem uśmiech złośliwy.

Nazajutrz poczta przyniosła mi list od miss C rlinglord z wymówką, że niedotrzymuję słowa. Odpowiedziałem depeszą, zapowiadającą mój przyjazd.

Mimo to, com słyszał z ust moich dependentów, przyznaję, że doznałem zawodu, gdy przybywszy zobaczyłem, że siedziba miss Carlingford jest zupełnie skromnym domkiem z malutkim ogródkiem, W oknach, osłonionych niedrogiemi firankami, stały gliniane doniczki z fuksyą, pelargonią i gwoździkami.

Otworzyła mi drzwi służąca — nic nadzwyczajnego — tłusta, czerwona, ze śmiejącemi się oczyma i zadartym noskiem.

— Wszak p. Ponting — rzekła wprowadzając mnie do skromnej bawialni, zastawionej meblami z jesionu, wyścielanemi ponsowym rypsem. Przy ścianie stał fortepian, właściwie klawicymbał, a na ścianach wisiały tanie oleodruki, takie, które były modnemi przed laty czterdziestu.

Salon ten pasował najzupełniej do powierzchowności miss Carlingford. Lecz przez uchylone drzwi przedstawił mi się widok o wiele ponętniejszy. W jednym z dalszych pokojów dostrzegłem szafę, pełną książek z ponsowymi safianowymi grzbietami, na marmurowym kominku płonął ogień, a do kominka przystawiony był wygodny fotel, obity ponsową skórą.

Nie mogłem przyjrzeć się innym sprzętom, bo służąca zamknęła drzwi, oznajmiając, że miss Carlingford powita mnie za chwilę.

Ten rzut oka na dalsze pokoje rozmarzył mnie. Zacząłem się zastanawiać, czy miss Carlingford nie ma większych powabów od urody? Czy nie zasadza swej zalotności na przybieranie pozorów kobiety zwyczajnej, pospolitej nawet, zachowując czary swego umysłu dla bliższych znajomych i przyjaciół?

Była to może sławna powieściopisarka, ukrywająca się pod pseudonimem, jak George Eliot? Może umyślnie umeblowała banalnie pokój, do którego wszyscy mają dostęp, zachowując dla siebie i dla najbliższego kółka przybytek, poświęcony literaturze i rozkoszom duchowym?

Miałem dość czasu nad tem się zastanawiać, bo siedziałem sam przez dobre pół godziny. Wreszcie weszła służąca i wniosła lampę.

Spytałem ją dość szorstko, czy miss Carlingford wie, że na nią czekam? W odpowiedzi uśmiechnęła się zagadkowo-tajemniczo, jak mi się zdało.

(Dokończenie nastąpi).

mię choć skryte wrażenie z powodu jej okazania się.

W Berlinie oczywiście zajęto dyplomatyczne stanowisko. Prasa uderzyła w ton ubolewania, że austryackie dzienniki rzecz całą zbyt biorą na seryo.

Jakkolwiek rzeczy się mają z tą broszurą, czy na niewczesny pomysł jej napisania wpadł jakiś niedojrzały polityk węgierski, czy inspirowały ją jakieś koła w Berlinie, licząc na nastrój umysłów na Węgrzech — tak czy tak, dla Wiednia i dla nas winna ona być wymowną przestrogą i wymownem wołaniem, że nie ma sposobności, którejby ktoś planowo, zręcznie a często bezczelnie nie starał się wyzyskać *pour le roi de Prusse.*

List prezesa Komitetu Centralnego.

W petersburskim tygodniku *Kraj* znajdujemy następujące pismo czcigodnego prezesa komitetu centralnego:

Szanowna Redakcyo!

Jeszcze w czerwcowym numerze „Kraju" czytałem artykuł, w którym korespondent omawia wybór prezesa centralnego Komitetu wyborczego. Muszę przyznać, że zapatrywania, w tej korespondencyi wyrażone, i wnioski, jakie szanowny korespondent wyciąga z wyboru mojego, mocno mnie zdziwiły. Nie odpowiedziałem dotąd, sądząc, że wielkiego znaczenia do zapatrywań, wypowiedzianych w tym artykule, ogół przywiązywać nie będzie: tymczasem widzę, że mylne przedstawianie rzeczy bałamuci opinię. Nie dziwiłem się, gdy ruskie dzienniki tak rzecz przedstawiały, jakoby wybór mój na prezesa Komitetu centralnego był oznaką zmiany stosunku i zapatrywań Polaków w Galicyi na potrzeby i żądania Rusinów; jakoby Komitet centralny, a tem samem i Koło sejmowe, przez które Komitet centralny powołany jest do życia i działania, stanęło mniej więcej na gruncie negatywnym, nieżyczliwem w stosunku do Rusinów. Takie przedstawianie rzeczy przez radykalne dziennikarstwo ruskie wypływa z jego manewrów politycznych, ażeby ludzi, którzy starają się pracować i pozostawać w harmonii z ludem ruskim, szczerze potrzeby i życzenia jego zastępować, przedstawiać jako wrogów tego ludu i narodu ruskiego, między tymi stwarzać rozdział i nieufność. To jasna polityka prowodyrów ruskich, którzy chcą zaprzeczać nam prawa reprezentowania ludu ruskiego, chociaż my właśnie potrzeby tego ludu lepiej znamy, z nim żyjemy w ściślejszych stosunkach, niejednokrotnie dla korzyści tego ludu, nie dzieląc na Polaków i Rusinów, ofiarujemy nasze zdolności, czas i poparcie materyalne. To też znamy dowody, że lud ten, mimo silnych i namiętnych agitacyj, obdarza zaufaniem Polaków, jak to i teraz mieliśmy świeży przykład przy wyborze z czwartej kuryi do Sejmu w okręgu złoczowskim, gdzie przewodniczący prowodyrom ruskim narodowcom, p. Kazimierz Obertyński, otrzymał $^4/_5$ głosów przeciw kandydatowi Rusinowi.

Otóż powtarzam, że takie przedstawianie rzeczy przez dziennikarstwo ruskie i prowodyrów radykalnych ruskich stronnictw nie dziwi mnie zupełnie, ale gdy w wspomnianej korespondencyi i szanowna Redakcya „Kraju" zalicza mnie do tych, którzy wrogo usposobieni są dla potrzeb ludności ruskiej, muszę temu zaprzeczyć. Głównym objawem mojej niechęci byłby, podług szanownego korespondenta: oświadczenie się moje w Sejmie przeciw utworzeniu gimnazyum z językiem wykładowym ruskim w Stanisławowie. Tak, sprzeciwiłem się temu stanowczo, ale natomiast żądałem na sesyi sejmowej w 1903 i 1904 r. wprowadzenia utrakwistycznych szkół średnich, gdzieby młodzież jednej i drugiej narodowości razem się wychowywała, żądałem wprowadzenia obowiązkowego nauczania języka polskiego i ruskiego w istniejących polskich i ruskich szkołach średnich. Nie będę powtarzał argumentów, jakie przytaczałem w komisyi szkolnej i w Sejmie; to tylko powiem, że bardzo wielu Rusinów zgodnego było zapatrywania ze mną, a wyborcy moi, Rusini, także życzenie nierozdzielania wspólnego pobytu i wychowania objawili w uchwale, przysłanej mi przez wyborców zgromadzenia. Dalej przytoczyć mogę, że, dwadzieścia kilka lat zasiadając w radzie powiatowej, jako członek wydziału i prezes, nigdy sporów narodowościowych nie miałem, mimo że w skład tej rady wchodzą Rusini, a sprawy, które załatwia rada powiatowa, mogłyby nastręczać sposobności do takich nieporozumień; że w Sejmie starałem się stworzyć związek posłów włościańskich, bez względu na narodowość, dla skutecznego przedstawiania potrzeb ludu ruskiego i polskiego, i dlatego nie należałem do żadnego klubu.

Przyznać jednak trzeba, że stosunek Polaków do Rusinów, t. j. do ludu ruskiego i tej części inteligencyi ruskiej, która uznaje potrzebę porozumienia i wspólnej pracy, nie zapoznaje łączności i związków, opartych na przeszłości historycznej — stosunek ten nie jest łatwy. Albowiem radykalne stronnictwa ruskie każdemu umiarkowanemu Rusinowi zarzucają, że to zdrajca, zaprzaniec, skoro nie na pierwszem miejscu u niego nienawiść do wszystkiego, co polskie. Raczej mieć szkoły i urzędy niemieckie, niż polskie, raczej wysyłać do Prus chłopa ruskiego, niż ma on się dostać do robót w fabrykach i kopalniach, powróci w biedzie i nędzy; ale może tam dokonać się obywatelowi-Polakowi. Każdego swoimi Polaków, jeżeli ten zajmuje się i działa wśród ludu ruskiego, oskarżają, że to „rusynoida, wszechpolak i hakatysta". Na szczęście ci radykalni prowodyrowie mało mają posłuchu wśród włościan ruskich, bo w licznych zebraniach i uroczystościach narodowych Polaków, a nie słyszę nigdy słowa niechętnego dla Rusinów, przeciwnie, widząc, że każda praca społeczna jest prowadzona dla jednych i drugich, że Polacy, zamieszkali od tylu wieków obok Rusinów, żywią do nich najszczersze uczucia i nie działali na ich szkodę. Niestety tylko, że ci spokojniejsi a bojaźliwsi, choć bardzo poważni i na wybitnych stanowiskach — nie mają odwagi wystąpić przeciw tym prądom radykalnym, chociaż sami ten kierunek uważają za wielce szkodliwy.

Pozwoliłem sobie przedstawić nasze stosunki do Rusinów, jak je widzę — a także i to, co dotyczy mojej skromnej działalności, ażeby odeprzeć i wyjaśnić, że ani moja osoba nie przedstawia kierunku wrogiego w rozpatrywaniu i wysłuchiwaniu żądań i potrzeb ludu ruskiego, ani członkowie Komitetu centralnego moim wyborem nie mogli mieć tego na myśli.

Mam to silne przekonanie, że wszystkie stronnictwa polskie, mimo przykrego nieraz uczucia, jakie budzić musi w każdym Polaku postępowanie czy to poszczególnych osobistości, czy stronnictw ruskich, nie przestaną oceniać sprawiedliwie potrzeb Rusinów, w miarę ich rozwoju kulturalnego i materyalnego.

Z poważaniem *Tadeusz Cieński.*

Pokój.

Berlin. *Nord. Allg. Ztg.* wita nadzwyczaj ciepło zawarcie pokoju i powiada, że Rosya zawdzięcza ten dla siebie pomyślny wynik beznamiętnej wytrwałości cara i jego doradców w Petersburgu, a pełnomocników w Portsmouth. Ten rezultat jest dowodem zachowania przez Rosyę siły odpornej, pomimo klęsk, poniesionych na polu walki. Dalej dziennik ten nie szczędzi słów uznania dla prezydenta Roosevelta za jego starania około przyjścia do skutku pokoju.

Oysterbay. Roosevelt na zawiadomienie Wittego, że pokój został zawarty, odpowiedział telegramem, w którym podnosi, że nie ma dość słów, ażeby gratulować Rosyi i całemu światu tego, że przyszło do zaszczytnego pokoju dla stron obu. Podobny telegram wystosował prezydent Roosevelt do barona Komury.

Paryż. Wedle telegramów z Portsmouth, Witte oświadczył, że wraz z pokojem zostanie podpisany rosyjsko-japoński traktat handlowy na podstawie największego udogodnienia, oraz specyalna ugoda co do ruchu na kolei wschodnio-chińskiej, której administracyę obejmą Japończycy.

Paryż. *Temps* pisze, że nigdzie nie powitano z taką radością wiadomości o pokoju, jak we Francyi. Dziennik składa Japończykom życzenia z powodu ich umiarkowania, a Rosyanom z powodu ich wytrwałości.

Temps stwierdza, że pokój jest dziełem Roosevelta.

Portsmouth. Wczoraj nie było posiedzedzenia pełnomocników pokojowych. Tylko Martens i Dennis zeszli się o godzinie 3 popołudniu i rozpoczęli prace około ułożenia traktatu pokoju.

Leodyum. Na bankiecie członków międzyparlamentarnej konferencyi pokojowej wygłosił hr. Apponyi mowę, w której wyraził radość z powodu zawarcia pokoju i zaznaczył, że pokój jest dziełem humanitarnych zapatrywań Roosevelta.

Wysłano do prezydenta Stanów Zjednoczonych następujący telegram: „Międzyparlamentarna unia pokojowa pozdrawia z entuzyazmem znakomitego męża, który tak skutecznie pośredniczył w zawarciu pokoju".

Oysterbay. Prezydent Roosevelt otrzymał telegramy z życzeniami od króla Edwarda i cesarza Wilhelma.

Paryż. Rady generalne w Dijon i Lyonie wysłały do Roosevelta telegramy z życzeniami i podziękowaniem z okazyi zawarcia pokoju.

Portsmouth. Witte wystosował do prezydenta Roosevelta telegram, w którym wyraża przekonanie, że historya przypisze jemu zasługę i chwałę pokoju, zawartego w Portsmouth, oraz zapewnia o wielkim szacunku i uznaniu całej Rosyi dla inicyatywy prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Witte oświadczył w rozmowie z pewnym dziennikarzem, że uważa, iż pokój jest pełen chwały dla Rosyi. Nie uczyniła ona bowiem żadnych ustępstw, naruszających jej honor i interesa. Witte sądzi, że redakcya tekstu układu pokojowego potrwa jeszcze pewien czas, gdyż Japończycy zwykle powoli pracują. Żadna już z kwestyj, które przyjdą pod obrady, nie jest taką, aby mogła zachwiać zgodę. Pokój jest już definitywnie ułożony i faktycznie będzie podpisany.

Portsmouth. Sądzą tu, że traktat pokojowy będzie do końca bieżącego tygodnia opracowany. Witte jest zdania, że cały traktat w rzeczywistości zawarty jest już w dotychczas opisanych protokołach z posiedzeń i potrzebne są tylko drobne poprawki tekstu. Dodana będzie tylko jedna nowa klauzula, zaprowadzająca zasadę otwartych drzwi w Mandżuryi t. j. wolnego handlu. W dobrze poinformowanych nowoyorskich kołach bankowych panuje przekonanie, że zaraz po zawarciu pokoju Rosya, a następnie Japonia zaciągną pożyczki, których wysokość zawisłą będzie od danych przez oba państwa gwarancyj. Wiadomą jest rzeczą, że Rosya czyni starania, aby część swej przyszłej pożyczki ulokować w Ameryce. Jest również zrozumiałą rzeczą, że Japonia zamierza zaciągnąć pożyczkę, ponieważ ma wielkie wypłaty.

Paryż. Wszystkie dzienniki dają wyraz radości z powodu osiągniętego w Portsmouth porozumienia i przypisując pomyślny wynik obrad inicyatywie Roosevelta, wskutek tego obsypują go pochwałami. *Matin* pisze, że Roosevelt jest niezaprzeczenie wielkim zwycięzcą w tej gigantycznej walce. *Echo de Paris* wywodzi, że cały świat obowiązany jest do wdzięczności temu mężowi, którego energii i wielkoduszności przypisać należy przełamanie nieprzejednanego stanowiska tych, co zbyt wiele żądali, i uporu tych, którzy za mało dawali. *Gaulois* oświadcza, że byłoby niesprawiedliwością nie chcieć uznać znaczenia wielkiej roli, która przypadła carowi przy zawarciu pokoju. *Libre Parole* zauważa, że z jakiejkolwiek strony ocenia się wynik konferencyi, zawsze sukces Rosyi będzie wielki i niewątpliwy. *Eclair* sądzi, że pokój będzie tylko prowizoryczny. *Aurore* stwierdza, że zwycięska Japonia przyjmując propozycye pobitej Rosyi, dała całemu światu piękny przykład umiarkowania. Również *Radical* i *Petite Republique* podnoszą umiarkowanie Japończyków.

Petersburg. Rosyjska prasa szowinistyczna ogromnie jest niezadowolona z pokoju, bo pokrzyżował on plany stojącego za nią stronnictwa wojny, czyli stronnictwa intendentów i dostawców. *Nowoje Wremia* pisze: Mamy więc pokój, który zapewne podpisany będzie w Waszyngtonie, a Waszyngton bardzo przypomina Berlin, jakkolwiek nie było w nim kongresu berlińskiego. Błędy rządu, grzechy społeczeństwa, niepewność i niezdolność naszych mężów stanu, oto przyczyny, dla których musieliśmy się zgodzić na pokój, nie mający sobie równego w dziejach Rosyi. Armia upokorzona, bo musi zaniechać swej akcyi i ustąpić w chwili, gdy pozycya jej jest lepszą, niż była w roku zeszłym. Wojna wyrządziła wiele szkód, okryła żałobą wszystkie warstwy społeczeństwa, ale większe rany i boleśniejsze zadał honorowi Rosyi, zawarty w Portsmouth pokój.

O wiele jeszcze ostrzej piszą *Moskowskie Wiedomosti.* Traktują też one Wittego mniej więcej jako zdrajcę Rosyi.

Wypadki w Królestwie.

Petersburg. Usunięty ze swego stanowiska generał gubernator warszawski Maksimowicz, pozostaje nadal generał-adjutantem cara. Komendant warszawskiego okręgu wojskowego, generał-adjutant Skalon, został zamianowany generał-gubernatorem warszawskim.

* * *

O nowym generał-gubernatorze otrzymujemy następujące informacye:

Jenerał Skalon całą prawie dotychczasową służbę wojskową odbył w Królestwie Polskiem, pomiędzy innemi był przez czas dłuższy dowódzcą stojącego w Warszawie załogą pułku ułańskiego i dokładnie jest obeznany z miejscowemi sprawami; utrzymywał też stosunki z przedstawicielami polskiego towarzystwa. Stanowisko pomocnika jenerał-gubernatora do spraw wojskowych objął przed kilku miesiącami po śmierci jenerała Łarkowskiego, następcy Puzyrewskiego.

Niewiadomo, rzecz prosta, dzisiaj jeszcze, jakiemi zasadami nowy jenerał-gubernator kierować się będzie wobec Polaków, jak również, czy zatrzyma p. Jaczewskiego na stanowisku naczelnika swojej kancelaryi. Jen. Skalon, oddając się wyłącznie sprawom wojskowym, nie występował bowiem dotąd publicznie ze swemi zapatrywaniami politycznemi.

* * *

Z Warszawy piszą pod datą wtorkową:

Stan oblężenia nie wywarł dotąd ani wrażenia, ani dalej idących następstw. Życie idzie jak codzień, a nawet zanotować można pewne uspokojenie oraz zmniejszenie się różnych napadów, zabójstw lub wypraw nożowniczych. Dotychczas też nowy „gubernator wojenny" na czas stanu oblężenia, gen. Olchowskij, nie upamiętnił się żadnem barbarzyńskiem rozporządzeniem, ani jego podwładni dzikim czynem. Patrole są mniej liczne, aniżeli przed tygodniem, podczas strejku. W nocy trzeba mieć przy sobie jakiś dowód legitymacyjny — i na tem koniec. Nie trzeba wprawdzie chwalić dnia przed wieczorem, jak dotąd jednak sprawdziła się opinia o gen. Olchowskim, że nie zechce on nadużywać swego wyjątkowego stanowiska i władzy nieograniczonej.

Jedynem intermezzo w tem wszystkiem jest sprawa wywieszenia czerwonego sztandaru na kominie fabryki kotłów i narzędzi miedzianych Bormana i Szwedego, położonej w stronie rogatki Wolskiej. Stało się to w piątek nad ranem, a więc właśnie w chwili, kiedy stan oblężenia zaczynał być faktem. Z komina dostrzeżono powiewający sztandar. Wojsko i policya wtargnęły zaraz do wnętrza, wszczął się alarm, śledztwo i wszystko, co do tego należy. Śledztwo jest trudne. Jak się zdaje bowiem, czynu tego dopuścił się któryś z 20 robotników, sprawiających dyżur nocny. Kiedy policya sztandar spostrzegła, znajdowała się w fabryce już inna partya robotników, nawet nie wiedzących prawdopodobnie o fakcie. Jak zwykle zatem, cierpieć musieli niewinni. Właściciele fabryki zapłacili 1.000 rubli kontrybucyi, nie licząc kosztów utrzymania oddziału wojska, przeznaczonego dla strzeżenia. Pozatem wszystkich robotników, nie będących stałymi mieszkańcami Warszawy, wysłano do miejsc urodzenia, wielu zaś zaaresztowano, pomiędzy którymi, jak się zdaje, „złoumyszlennika", jak się to nazywa w stylu urzędowym, wcale niema. Najwięcej zatem stracili na tem właściciele, oczywiście najniewinniejsi w całej sprawie.

Więzienia warszawskie, zwłaszcza cytadela, są przepełnione. Aresztowania jednak odbywały się przeważnie dawniej; podczas trwania stanu oblężenia dokonano ich stosunkowo mniej.

Potwierdza się wieść, że wśród 27 aresztowanych przed 10 dniami członków polskiej partyi socyalistycznej, znajdował się cały sztab partyi. Odkryto ważne papiery, listę skazanych na śmierć itd. Rozchodziła się też pogłoska, że zabrano także około 20 tysięcy rubli — co jednak wymaga potwierdzenia. Jak się zdaje, papiery te, a zapewne i wdrożone śledztwo, wykryło wiele innych osób, w kilka dni potem bowiem odbyła się znów rewizya nader ścisła w jednym z przyległych domów, który najpierw otoczono szczelnie wojskiem.

Skutkiem tych ostatnich aresztowań panuje w obozie socyalistycznym rozprzężenie i nieład. Dowodem jest tego zesłabła akcya teroru, co już przed tygodniem, podczas ostatniego „bezrobocia politycznego", dostrzedz było można.

W dzisiejszym *Warsz. Dniew.* czytamy, co następuje: „Podana przez kilka zagranicznych dzienników polskich wiadomość, że powieściopisarzowi Henrykowi Sienkiewiczowi polecono wyjechać z Warszawy — pozbawioną jest wszelkiej podstawy".

Co i o czem piszą.

W dalszym ciągu swoich „Listów lwowskich" porusza korespondent *Głosu narodu* kwestyę dlaczego życie towarzyskie we Lwowie redukuje się prawie do zera? Jest w tem niewątpliwie wina ogromnej drożyzny mieszkań, tak, że ludzie muszą się ograniczać do najniezbędniejszych dwóch, trzech, czy czterech pokoi — o salonie, w którymby podejmować można gości, mało kto myśleć teraz może. Jest też wina nietowarzyskiego życia w niejednolitej ludności miasta, także i w tem że urzędnicy i wojskowi — których są tak liczne rzesze we Lwowie — ogromną uwagę zwracają na piastowane stanowisko, i niechętnie żyją z ludźmi pozostającymi w niższej klasie rangi. Najgłówniejszym jednak powodem braku towarzyskiego życia we Lwowie jest — według korespondenta *Głosu narodu* — przyzwyczajenie mężczyzn do swobodnego, bez żadnego krępowania się spędzania wolnego czasu w kółku ściśle męskiem przy czarnej kawie i partyi taroka czy winta. Autor „Listów lwowskich" udawadnia nam to twierdzenie bardzo plastycznie, na przykładach. Pisze on:

— Wiecie, Włodek się żeni, — oznajmia raz nowinę pewien stały kawiarniany bywalec. Czoła się chmurzą, niezadowolenie przebija ze wszystkich twarzy...

— Szkoda, taki serdeczny chłopak, trudno się będzie przyzwyczaić do jego nieobecności...

— Nie bójcie się, — uspokaja zasmuconych pewien radzca, stary, wytrawny wyga. — Zjawi się on u nas napowrót...

I w istocie, po odbyciu obowiązkowej podróży poślubnej, po prawidłowem spędzeniu miesięcy miodowych, otwierają się z trzaskiem drzwi i młody małżonek z wesołym uśmiechem przestępuje próg, dawno niewidzianej kawiarni.

— Włodek, *servus*—a to gość niespodziewany!..

Serdeczne uściski dłoni, przyjazne słowa powitania... Włodek z rozkoszą wciąga w swe płuca przesiąknięte dymem powietrze, odpowiada na prawo i lewo, a po chwili pyta niespokojnie:

— No, nie zagramy w taroka? Dostałem dziś urlop od żony na dwie godziny...

Rozpoczyna się partya tarok ... *Trul, ultimo, contra* latają w powietrzu. Grono ciekawych, zwanych gwarą grających *kibicami*, otacza stolik i wyraża swą opinię co do rozegrania jakiejś ciekawszej partyi. Jeden z grających, który właśnie przegrał i nie wie, na kim wywrzeć swój zły humor, zwraca się ku nim:

— Czy panom nie przeszkadza w rozmowie nasza gra? — pyta słodko-cierpkim tonem.

— Bynajmniej — odpowiada uprzejmie jeden z kibiców — proszę się nami nie krępować...

— Ależ panowie mi przeszkadzają!

— Semaniuk (kawiarniane przezwisko grającego, skarżącego się ustawicznie na „pech"), daj spokój, nie rób awantur, uspokajają przyjaciele, źle grałeś i dlatego przegrałeś... Twoja tylko wina, a nie kibica...

— Ależ tak proszę, by mi nikt nie kibicował— odzywa się płaczliwym tonem przesądny tarokista. — Wiecie o tem i mimo to tylko przy mnie siadacie. Przysiągłbym, że jednej „gry" nie zrobię.

Lecz równocześnie spostrzega, że ma wspaniałą „grę". Twarz mu się wypogadza, uśmiecha się, traktuje papierosem karconego przed chwilą kibica, dowcipkuje nawet z nim...

Godziny upływają szybko, jak minuty. Włodek, młody małżonek, mający urlopu tylko dwie godziny, zrywa się jak oparzony:

— Jezusie, siódma godzina, a ja miałem urlop tylko do piątej! Wiluś, jutro zapłacę — woła do płatniczego. — Do widzenia. Żona od dwóch godzin już czeka na mnie w cukierni...

Na drugi dzień zjawia się znowu, lecz obecnie prosi już, by punkt o piątej przemocą go wyrzucić. — Napróżno!.. jeszcze jedno kółko, mały kwadransik!... Trwa tak parę tygodni, aż wreszcie Włodzio znika znowu z kawiarni.

— Musiał gdzieś wyjechać — twierdzą.

— Nie, biedna żona poświęciła się, i by męża zatrzymać w domu, nauczyła się „bezique'a" i gra z nim codziennie po obiedzie.

Początkowo bawi go to. Cieszy się, gdy żona przegrywa, nie posiada się z radości, gdy widzi żonę cieszącą się, skoro karta jej sprzyja. Wkrótce jednak zaczyna ziewać, gra z żoną nie nęci go więcej...

Zjawia się powtórnie w kawiarni...

Wyżebrał znowu codzienne urlopy; pilnuje tylko trochę więcej czasu...

A jednak kocha on swą Zosię nad życie. Przed bliższymi znajomymi opowiada cuda o jej piękności, anielskiej dobroci... Karty nie powinny go tak interesować, gdyż gra nadzwyczaj tanio; po kilku godzinach różnica wynosi kilkadziesiąt groszy... Lecz towarzystwo go ciągnie; wesoła pogadanka, dowcipy, wyziewy kawy i herbaty, kilkuletnie przyzwyczajenie.

— Znowu puściła go pani do kawiarni, pyta się jeden znajomy?...

Pani Zofia pobłażliwie się uśmiechnęła.

— Wie pan, Włodek powiedział, że gram za wysoko, dla interesu, a w kawiarni gra tylko dla przyjemności...

— I pani uwierzyła temu?...

— Cóż miałam robić... Gdy mu to sprawia taką radość... Byle tylko za długo nie siedział i za dużo nie palił papierosów, bo to mu szkodzi...

Drugi znowu bywalec, nie znoszący obok siebie kibiców...

Wsuwa się dyskretnie szatny.

— Proszę pana, ktoś telefonuje do pana...

— Powiedz, że już wyszedłem — odpowiada.

Lecz widocznie żona wie, co to znaczy, gdyż wkrótce potem zjawia się sama. Szatny okazuje się znowu i melduje:

— Pani prosi, by pan już wyszedł...

— Nie ma mnie, poszedłem już...

— Filip powiedział, że pan jest jeszcze...

— Idyoto, szympansie — beszta *piccola* zapalony tarokista, lecz zrywa się, płaci i wychodzi, mrucząc pod nosem:

— Będę się miał z pyszna; da mi mój kapral (tak nazywa żonę, gdy przemocą wyciąga go z kawiarni), gdy wrócimy do domu.

A szczęśliwi kawalerowie, których nie woła telefon, nie wywołuje kelner, dowcipkują, śmieją się, swobodnie grają dalej...

— Dziękuję ci Semaniuk — wołają za odchodzącym — za twoje korony pójdziemy dziś do teatru, na dobrą kolacyę...

— Udławcie się tam — mruczy już we drzwiach biedny Semaniuk...

Lecz za drzwiami uśmiecha się słodko, pyta „swego kaprala", czyby nie zechciał przejechać się trochę na spacer, czy nie potrzebuje bluzki lub perfum... słowem, jest czułym, jak gołąbek... Bo ci wszyscy zwolennicy kawiarń, to najlepsi w gruncie rzeczy ludzie, kochający swe żony, dzieci, poczciwi...

I powoli jeden żonaty za drugim wychodzi zaniepokojony, że przekroczył wyznaczony mu czas, opowiada z kwaśną miną, że w domu czeka go awantura...

Na drugi dzień jednak pojawia się z butną miną napowrót... Wczorajsze nieprzyjemności poszły chwilowo w zapomnienie; powtórzą się dziś wieczorem dopiero. Trzeba więc wyzyskać tych kilka godzin. A zatem:

— Wiluś, taroka!... Panowie siadajmy, bo szkoda czasu!...

„Szkoła natury".

Jednym z najwspanialszych pomysłów nowoczesnej pedagogii jest założenie „szkoły natury" w okolicy Bordeaux. Plan cały powziął i wykonał młody profesor gimnazyalny Contou. Dzięki niezmordowanym istotnie zabiegom zebrał on potrzebne fundusze, zakupił w prześlicznej okolicy wieś z łąkami, ogrodami winnicznemi, lasami i zabudowaniami gospodarczemi, a nawet z zarybionym stawem, przez który rzeczka przepływa, odświeżając nieustannie wodę. W owej „szkole natury" obowiązuje przedewszystkiem zwykły plan nauki. Dwór jednak przerobiono na szkołę, nie zacierając cech domu wiejskiego. Zakład nie jest przeznaczony dla uczniów rodzin zamożnych, lecz owszem dla biedniejszych, którzy oddychali dotąd zatrutem miejskiem powietrzem. Tu mogą studyować Liwiusza i matematykę w zdrowej atmosferze i uczyć się równocześnie praktycznie, jakie znaczenie ma drzewo, jarzyna, bydło. Na łonie natury czerpać będą wiedzę o bogactwach natury. W ten sposób nowa ta szkoła stanie się klasycznem siedliskiem wykształcenia przyrodniczego. Każda klasa liczyć będzie najwięcej po 15 uczniów, co umożliwi niedostępne dzisiaj wobec przepełnienia szkół publicznych nauczanie indywidualne. Lekcye trwać mają najdłużej po trzy kwadranse, a rodzaj wspólnej nauki w ten sposób będzie urządzony, że uczniowie wyższych klas muszą być *ex officio* korepetytorami młodszych kolegów i pomagać im w wyrabianiu zadań po za godzinami szkolnemi. Przeważną część dnia spędzać będą uczniowie na wolnem powietrzu przy pracy lub przy zabawie. „Szkoła natury" nie uznaje spacerów „parami" w szeregu; swobodne bujanie po polach, łąkach i lasach — oto przechadzka jej wychowanków. Codziennie praca ręczna: od g. 2 do 4 ogrodnictwo i stolarstwo, wczesnym rankiem praca w polu, hodowla bydła, uprawa winnic, a po zachodzie słońca sport wioślarski — zaokrąglają program szkolny. Niema zaś w nim miejsca dla ostrej dyscypliny. Dzieciom przyznano względną swobodę. Po ukończonej nauce szkolnej mogą robić, co im się podoba. W zamian za tę wolność wymaga się od wychowanków bezwzględnej lojalności i prawdomówności. Kłamstwo będzie karane surowo, a w razie recydywy przyprawi ucznia o wykluczenie.

Koszt utrzymania ucznia jest jeszcze dość znaczny, bo wynosi 100 franków miesięcznie; nowa szkoła dostępna jest zatem na razie dziatwie średnio przynajmniej zamożnych rodzin. Ale powodzenie ogromne, jakie zdobyła sobie już w samym zaczątku — wszystkie miejsca w lot zajęto — pozwala wnosić, że wkrótce i w innych miejscach powstaną podobne szkoły i że koszt utrzymania w nich będzie mniejszy. I stać się jeszcze kiedyś może — o czem marzą wszyscy szczerzy przyjaciele młodzieży — iż szkoły średnie przeniosą się z zaduchu miejskiego na wieś, ku wzmocnieniu płuc, muskułów i nerwów, a tem samem także umysłowej sprawności przyszłych pokoleń.

KRONIKA.

Lwów 31 sierpnia.

Tanie mięso we Lwowie. Po Wiedniu i Krakowie przyszła kolej na nasze miasto, aby położyć ciężką rękę na gospodarce tutejszych rzeźników i pośredników sprzedaży mięsa. Prezydent Michalski przed wyjazdem do Ragatz zwołał konferencyę w tej sprawie a jego zastępca, wiceprezydent Dr. Rutowski, obecnie urzędujący jako przewodniczący prezydyum miasta, zabrał się z całą energią i wielkim zasobem fachowych wiadomości do ujęcia tej sprawy i wprowadzenia jej na właściwe tory. Przy pomocy wiceprezydenta Ciuchcińskiego, star. radzców Hobgarskiego i Jakubowskiego, oraz Dra Krzyształowicza, weterynarza miejskiego — w przeciągu 8 dni zrobił wiceprezydent Rutowski to, że dziś przedpołudniem uchwalił Magistrat zaprowadzić od soboty s p r z e d a ż m i ę s a p r o w i n c y o n a l n e g o w 20 s t r a g a n a c h n a p l a c u S t r z e l e c k i m.

Cena mięsa prowincyonalnego jest dotąd za kilogram: wołowe 1 K. 36 h., cielęce 1 K. 40 h., baranie 1 K. 20 h., wieprzowe 1 K. 60 h., a w jatkach zaś na placu strzeleckim sprzedawać będą rzeźnicy akordowani z prowincyi: wołowe 1 klg. za 1 K. 12 h., cielęce 1 klg. za 1 K. 20 h., baranie 1 kg. za 1 K., wieprzowe 1 kg. za 1 K. 12 h. Tak znaczne potanienie mięsa musi spowodować ogólną zniżkę także mięsa prima sorta, bitego w rzeźni tutejszej.

We Lwowie dotąd wogóle konsumują mieszkańcy rocznie 12,500.000 klg. mięsa rzeźniowego, a 1,300.000 klg. mięsa prowincyonalnego. Zasługą nowowybranego prezydyum miasta będzie wielką, jeżeli ta obniżka trwać będzie stale.

Odznaczenia. Cesarz nadał dyrektorowi urzędów pomocniczych w namiestnictwie lwowskiem Franciszkowi Wagnerowi, przy sposobności przeniesienia go na własną prośbę w stan spoczynku, tytuł starszego dyrektora urzędów pomocniczych.

Poemat dramatyczny. P. Adam Stodor, zaszczytnie znany poeta, wykończył poemat dramatyczny p. t. „U ołtarza Mildy". Poeta osnuł swój poemat na tle historycznem z 1775 r. na stosunku mianowicie Tadeusza Kościuszki do Ludwiki Sosnowskiej. Utwór swój ma autor zamiar przesłać dyrekcyi teatru miejskiego we Lwowie.

Subwencya na restauracyę kościoła OO. Karmelitów. Magistrat uchwalił przedstawić Radzie miejskiej wniosek na wstawienie do budżetu na r. 1906 kwoty 2.000 K. tytułem subwencyi na wybudowanie drugiej wieży i rekonstrukcyę tego starożytnego kościoła.

Nowy departament Magistratu m. Lwowa. Z powodu wprowadzić się mającego zakładu pogrzebowego, powstała w gronie radnych myśl, aby wydzielić wszystkie zakłady miejskie z różnych departamentów, do jakich są dotąd przydzielone, a utworzyć nowy na ten cel departament przedsiębiorstw gminnych, więc rzeźnia, wodociągi, gazownia, zakład pogrzebowy. Jako szefa takiego departamentu wymieniają sekretarza Cz. Pawłowskiego, który głównie dotąd w tych sprawach urzędował.

Miejski zakład pogrzebowy i miejski dom przedpogrzebowy. Jeszcze w roku 1902 wydelegowała Rada miejska radnego dr. Lisiewicza do Warszawy, a starszego radzcę magistratu Hobgarskiego do Drezna, aby poczynili studya nad zakładami miejskimi pogrzebowymi w tych miastach. Na podstawie obszernych sprawozdań tych delegatów postanowiła Rada miejska założyć we Lwowie miejski zakład pogrzebowy i dom przedpogrzebowy i na ten cel wstawiono do budżetu na rok 1905 kwotę 20.000 koron. W myśl wniosku gorącego zwolennika tej myśli rektora dr. Szpilmana wybrała w maju r. b. Rada miejska komisyę, w skład której weszli: dr. Lisiewicz, dr. Szpilman, J. Hudec, X. dr. Lenkiewicz, Bol. Lewicki, St. Platowski i st. radzca magistratu Hobgarski. Komisya ta wzięła się energicznie do pracy, porobiła studya i wybrała subkomitet wykonawczy, do którego weszli dr. Al. Lisiewicz, dr. J. Szpilman i Bol. Lewicki. Subkomitet ten wszedł w układy z tutejszym przedsiębiorcą pogrzebowym p. A. Kurkowskim, przez fachowców ocenił tak całe to przedsiębiorstwo, jak i inwentarze i realność, i po dwumiesięcznej pracy przedstawił subkomitet wynik swych zabiegów pełnej komisyi.

Posiedzenie odbyło się we środę 30-go b. m. pod przewodnictwem X. prałata dr. Lenkiewicza przy współudziale pełnej komisyi, oraz wiceprezydenta dr. Rutowskiego, radzcy Goreckiego, dr. Legieżyńskiego i zastępcy szefa IX departamentu sekretarza Pawłowskiego, który głównie prowadził z p. Kurkowskim pertraktacye.

Na tem posiedzeniu przedstawił imieniem subkomitetu radny B. Lewicki całą sprawę i zaproponował wejść w pertraktacye z p. Kurkowskim na podstawie ceny 300.000 K. za cały zakład pogrze-

bowy, za realność przy ul. Kochanowskiego i Szewczenki z domem przedpogrzebowym, za całe przedsiębiorstwo dorożkarskie, pod warunkiem, że cena kupna spłacana będzie p. Kurkowskiemu z czystego rocznego zysku, że od renty kapitału płacić będzie gmina 4½%, że p. Kurkowski pod kontrolą gminy przynajmniej przez dwa lata prowadzić będzie przedsiębiorstwo na podstawie cennika przez magistrat uchwalonego, że na przyszłość nie założy p. Kurkowski ani sam, ani pod inną firmą takiego zakładu.

Dr. Szpilman w obszernym referacie podał komisyi bliższe szczegóły: realność sama warta jest 126.000 K., 22 karawanów, 40 fiakrów, 6 omnibusów, 160 koni, składy dwa przy ul. Sobieskiego z trumnami i przyborami, dom przedpogrzebowy, słowem w pełni rozwinięte się przedsiębiorstwa p. Kurkowskiego, razem wzięte, są zupełnie usprawiedliwione ceną 300.000 koron. W dyskusyi zabierali głos wiceprezydent dr. Rutowski, radny S. Piatowski, X. dr. Lenkiewicz, sekr. Pawłowski, radny Rudec i starszy radzca Hobgarski, poczem jednomyślnie uchwalono wnioski radnego B. Lewickiego.

Sprawa ta będzie dziś we czwartek przedłożona Magistratowi, a wiceprezydent zaprosił obu delegatów Rady dr. Szpilmana i B. Lewickiego na to posiedzenie.

Zaćmienie słońca, które przypadło wczoraj na godzinę 2 minut 4 i trwało mało przeszło dwie godziny, można było tylko obserwować do godziny trzy kwadranse na trzecią, później bowiem nadciągnęły tak gęste chmury, że nie przepuściły ani promyka, poczem lunął rzęsisty deszcz. W czasie, kiedy słońce nie było jeszcze przysłonięte chmurami, można było przez zakopcone szkła widzieć bardzo dokładnie, jak cień księżyca przesłaniał coraz więcej tarczę słoneczną, tak, że w końcu przedstawiała się jak ogniste rogal, o dwóch ostrych końcach.

W sprawie oszustw pana Łosia, który w Jaśle zdefraudował kilkanaście tysięcy koron z funduszów krakowskiego Towarzystwa ubezpieczeń, doniosły niektóre pisma, jakoby pan Łoś miał kilkanaście książeczek wkładkowych Galicyjskiej Kasy oszczędności, powpisywał sobie w nie dowolne kwoty i potem książeczki zastawił u żydów. Otóż z informacyi zasiągniętych przez nas w Dyrekcyi Galicyjskiej Kasy oszczędności okazuje się, iż pan Łoś nie miał czystych książeczek wkładkowych Kasy i, że wogóle niemożebnem jest, by ktoś nieprawnie przyszedł w ich posiadanie. Oszustwa zaś jego z książeczkami Kasy stały się nieco odmiennie, jak to opisują dzienniki, a mianowicie pan Łoś składał pewną większą kwotę na książeczkę Kasy, a następnie prawie całą kwotę podejmował, pozostawiając tylko kilka koron na książeczce, by ją można zatrzymać. Następnie zapomocą chemicznych środków wywabiał, niejako wymazał wypis o wyjęciu znacznej części wkładki i [illegible] książeczki, które w ten sposób brzmiały na pierwotnie włożoną kwotę, zastawiał u żydów.

Słonie księżnej Yvonne de Mayrenna w Colosseum. Dyrekcya Colosseum, dowiedziawszy się, iż dyrektor słynnej „Wenecyi w Wiedniu" p. Gabor Steiner, będąc w Paryżu zaangażował na całe 6 miesięcy Yvonne de Mayrenna z jej niezwykłej tresury 3 słoniami, wysłała swego kierownika artystycznego p. [illegible] do Wiednia, a ten po wielu trudach osiągnął cel swojej wycieczki, a mianowicie sprowadził do Colosseum tę Paryżankę, która wdziała na swe skronie arcyegzotyczną mitrę książęcą.

Honoraryum, jakie za swe występy pobiera księżna Yvonne de Mayrenna, jest na nasze stosunki wprost bajeczne — dość powiedzieć, że sam przewóz tych czworonożnych artystów kosztuje ani mniej, ani więcej, tylko 1500 koron.

Morderstwo w Wiedniu. Telegraficznie donieśliśmy wczoraj z Wiednia o spełnionem tam morderstwie, które w mieście obudziło sensacyę z powodu, iż rzuciło ono wiele jaskrawego światła na ubóstwo i stosunki moralności pewnych warstw. Otóż woźnica tramwaju elektrycznego, nazwiskiem Jan Prügel, 29-letni mężczyzna, od trzech lat żonaty, ojciec 2 dzieci, wieczorem zamordował w swem mieszkaniu, wydaliwszy poprzednio z domu żonę, służącą nazwiskiem Bertę Böhmównę. Utrzymywał on z nią od kilku miesięcy stosunek miłosny, twierdząc, że jest kawalerem i obiecując, że się z nią ożeni. Berta Böhmówna spędziła parę tygodni u rodziców na Szląsku, a w niedzielę wieczorem koleją Północną przybyła do Wiednia. Prügel oczekiwał jej na dworcu i tam Berta Böhmówna wyznała mu, że jest matką. Na to Prügel zaprowadził ją do swego mieszkania, wysłał żonę i dzieci na miasto, poczem rzucił się na Bertę i zadusił. Następnie w kufrze, [illegible] wywiózł trupa Böhmówny do parku w Schönbrunie i tam ukrył w krzakach. Trupa odkryły dzieci, bawiące się [illegible]. Policya zabrała się do badania i wczoraj wykryła mordercę, Prügla. Aresztowano go w wozie tramwajowym podczas pełnienia służby. Aresztowano także i żonę jego, gdyż [illegible] o tem, iż mąż jej zamordował Bertę Böhmównę i że pomagała mu [illegible]. O godz. 3 po poł. odbyła się konfrontacya pomiędzy mężem i żoną, [illegible] Prüglowa jest niewinną i dlatego też ją uwolniono z aresztu. Wiedziała ona wprawdzie o tem, że mąż jej Böhmównę zamordował, ale Prügel groził jej śmiercią w razie, jeżeliby go zdradziła. W toku badań zeznał Prügel w policyi, że zawiązał stosunek z Böhmówną za pomocą anonsu dziennikarskiego. Ogłosił on bowiem, że służący bankowy, kawaler, poszukuje dziewczyny z pewnemi oszczędnościami. [illegible] Böhmówna korespondowała z Prüglem [illegible] między nimi do osobistej znajomości.

Tyle suchej, telegraficznej relacyi. Dziś donoszą nam z Wiednia o niektórych jeszcze szczegółach.

Oto okazało się z przesłuchania żony Prügla, że [illegible] z Böhmówną za wiedzą żony, a to dlatego, że w domu była nędza i, jak wyznała [illegible] Prüglowa: „pieniędzy nam w domu [illegible] było nam obojętne [illegible] żony w stosunku [illegible] jedyny cel, by od [illegible] złożone w Kasie. [illegible] odległej uliczce w [illegible] najuboższą ludność, [illegible]

Prügel był furmanem. W kwietniu roku 1902 ożenił się z pracowitą, dziewczyną, która [illegible] swoich oszczędności w [illegible] Prügel zapadł [illegible] kilka tygodni w szpitalu [illegible] na utrzymanie swojej [illegible] Na dobitek urodziło się im dziecko [illegible] dopiero w lutym roku 1903 [illegible] dostać miejsce przy tramwaju elektrycznym. Niebawem nieszczęście znów ich nawiedziło. Prüglowa powtórnie została matką i w parę dni potem, przechodząc przez ulicę, upadła pod koła ciężkiego wozu z piaskiem. Nie odniosła ran, lecz wskutek upadku i wstrząśnienia ciężko zapadła na zdrowiu i dwa miesiące przeleżała w szpitalu. Tymczasem Prügel pozostał sam z dwojgiem dzieci i pomagał sobie w ten sposób, że nawiązując stosunki znajomości ze sługami jako wdowiec, starał się od nich wyłudzić pieniądze. Od pewnej kucharki wyłudził 40 koron. Gdy powróciła do domu jego żona, oszustwo się wykryło. Oszukana kucharka zagroziła Prüglowi doniesieniem do policyi. Prügel musiał jej zwrócić pieniądze. Drobne długi i dług zaciągnięty na zapłacenie tej kwoty pogorszyły tylko ubóstwo Prüglów. Wtedy Prügel powziął plan systematycznie oszukiwać sługi, obiecując się z niemi żenić.

Po zawarciu znajomości z Böhmówną utrzymywał Prügel stosunek z nią za wiedzą żony, której nawet dawał jej listy do czytania. Böhmówna miała tysiąc koron oszczędności, które były przedmiotem pożądania Prüglów. Gdy podczas lata Böhmówna, której chlebodawcy wyjechali do kąpiel, bawiła u rodziców na Szląsku, Prüglowa poradziła mężowi, by napisał do Böhmównej, że zdarza mu się objąć znakomitą mleczarnię i potrzebuje na zadatek stu koron. W ubiegłym tygodniu Prügel napisał do Böhmównej, ona zaś odpowiedziała, że przyjedzie w sobotę w nocy do Wiednia i w tej sprawie rozmówi się z „narzeczonym". Prügel ułożył sobie z żoną, że w nocy zaprowadzi dziewczynę z dworca nad Dunaj, i gdy ona nie zechce dać pieniędzy, to ją udusi i strąci do wody. Lecz Böhmówna nie przyjechała w nocy, a dopiero w niedzielę rano. Zanim Prügel wyszedł po nią na dworzec, umówił się z żoną, że przyprowadzi Böhmównę do domu, a wtedy żona z dziećmi wyjdzie na przechadzkę. Jak postanowiono, tak zrobił. Böhmównej powiedział, żeby z nim poszła do jego siostry. Böhmówna usłuchała. Prügel zapoznał ją w domu ze swoją żoną, jako niby z siostrą, która natychmiast wyszła z dziećmi na przechadzkę. Gdy po trzech godzinach wróciła, pozostawiwszy dzieci przy zabawie na skwerze, zastała w domu już trupa dziewczyny. Prüglowie ułożyli trupa w sienniku, położyli go w kącie i postawili jedną pakę przed nim, a drugą większą postawili na wierzchu i oparli ją o ścianę tak, że utworzyła się kryjówka, w której trup mógł leżeć niepostrzeżony przez kogoś, coby wszedł do izby.

Nazajutrz rano Prügel poszedł do pracy, a żona pozostała przy trupie, odprowadziwszy wprzód dzieci na skwer do zabawy. Popołudniu, gdy mąż powrócił do domu, oboje włożyli trupa do kufra i obwiązali kufer sznurem. Prügel wypożyczył od pewnego lakiernika ręczny wózek, sąsiadom powiedział, że ma zamiar się wyprowadzić i dlatego naprzód już kufer wywozi z domu, i powiózł kufer naprzód do lasku w Ober St.-Veit, a tam snadź przez kogoś spłoszony do tzw. *Vorparku* w Schönbrunie, gdzie wyjąwszy trupa z kufra złożył go w krzakach.

Obdukcya zwłok wykazała, że Prügel ofiarę swoją wprzód dusił, potem uderzył ją trzy razy siekierą w głowę, a w końcu zakneblował jej usta. Rany zadane siekierą nie były śmiertelne. Dziewczyna zmarła od uduszenia kneblem.

Böhmówna snadź była podejrzliwą, bo do Wiednia przywiozła ze sobą tylko 34 koron, które Prügel po jej zabiciu wziął z jej ubrania. Z tych pieniędzy zapłacili Prüglowie kilkanaście koron długu w sklepiku, a za kilka koron kupili sobie różnych prowiantów.

Pomijanie gmin przy dostawach podwód dla wojska Z Jarosławia piszą: Wielką niespodzianką dla mieszczan stały się podwody dla wojska. Ustawa w maju b. r. wprowadzona w życie, zreformowała obowiązek dostarczania podwód w ten sposób, że podwyższono należytość z 6 hal. na 12 hal. za kilometr i konia. Wojsko jednak skorzystało z jednego paragrafu tej ustawy, że mu wolno także w drodze swobodnego najmu postarać się o podwody i z pominięciem gmin oddało w przedsiębiorstwo prywatne różnym spekulantom dostarczenia podwód. Do tego czasu, gdy mieszczanin lub chłop dokładał do podwody, wojsko żądało ich setkami i tysiącami, teraz wszelki możliwy zarobek płynie do kieszeni obcego przedsiębiorcy. Jarosław dostarczał dla wojska podczas jesiennych ćwiczeń 200 — 300 podwód, obecnie zażądano tylko 12, resztę zaś dostarczył przedsiębiorca, płacąc furmanom po 10 koron za jazdę, za którą należy się wedle taryfy po 16 koron i tyle ma wojsko płacić. Wyszła jednak na jaw pewna spekulacya także ze strony wojska, mianowicie, że przedsiębiorca daje pewien naddatek w podwodach, to znaczy np. mając wedle wynagrodzenia dostarczyć 50 podwód, daje ich 60 za tę cenę. Jakie następuje zarachowanie, nie wiadomo, gminy jednak są tak nieoględne w swej uprzejmości dla wojska, że wystawiają certyfikaty na rzekomo dostarczone podwody, jakkolwiek ani jednej nie dano. Postępowanie takie wywołało poważne objawy niezadowolenia i magistrat jarosławski wniósł zażalenie do Namiestnictwa i komendy stacyjnej. Przepis §. 8 ustawy, dozwalający na pomijanie gmin przy dostawach podwód musi być stanowczo zmieniony i posłowie nasi w Radzie państwa już na najbliższej sesyi powinni się tą sprawą piekącą zająć. Ludność miast i wsi ponosi ogromne ciężary na rzecz wojska, w zamian zaś odjęto im możność od czasu do czasu zarobienia kilku groszy.

Nauka czytania i pisania na kursie dla dorosłych analfabetów (mężczyzn i kobiet) w szkole męskiej im. Konarskiego rozpoczyna się w niedzielę dnia 3 września b. r. po południu o godzinie 3-ciej. Nauka jest bezpłatną i odbywa się tylko w niedziele. Oprócz czytania i pisania udziela się na tym kursie także nauki religii i rachunków. Zapisywać się można w każdą niedzielę po południu od godz. 3—5.

Jarmark na konie. W Jarosławiu odbędzie się we wrześniu pierwszy jarmark na konie ras szlachetnych, tudzież na konie gospodarskie i włościańskie. Jarmark rozpocznie się 8 września i będzie trwał cały tydzień. Zapowiada się dobrze, gdyż bardzo dużo hodowców i właścicieli koni pozamawiało stajnie.

Testament dziwaka. W Neapolu odebrał sobie życie, 50-letni Filip Florio, a to z powodu dotkliwej i nieuleczalnej choroby. Przed śmiercią klucze od kasy wrzucił do ustępu, chcąc zapobiedz rozkradzeniu jego znacznego majątku. Ostatnią wolą samobójca zapisuje 4½ miliona na rzecz szpitala dla nieuleczalnych w Neapolu i postanowił, aby tam urządzone zostały nowe sale dla chorych, a wszystkie mają być zaopatrzone w następujące napisy: „Pieniądze, zabrane przezemnie bogaczom, którzy zabrali je ubogim, wracają do ubogich". Wykonawcami testamentu mianował Florio kardynała-arcybiskupa Prisco, notaryusza i adwokata; na końcu testamentu przeklina ich, na wypadek, gdyby rozporządzeń jego ściśle nie wykonali.

Podręczny słownik chiński i japoński. W języku chińskim oznacza: *Pe* — północ. *Tong* (lub *tung*) — wschód. *Nan* — południe. *Se* — zachód. *Pei* — czarny. *Hai* — morze. *Heang* — żółty. *Ssang* — wierzch. *Krang* — szeroki. *Szan* — góra. *Czung* — środek. *Fu* — miasto. *King* — stolica. *Kiang* — rzeka. *Tien* — niebo. *Ho* — potok.

Przeto: Pe-king = stolica północna, Nan-king = stolica południowa, Szang-hai = wierzchnie, t. j. górne morze, Se-kiang = rzeka zachodnia, Pei-ho = czarny potok, Szan-tung = góra wschodnia. Akcent kłaść zawsze należy na ostatniej zgłosce.

W języku japońskim: *Saki* — przylądek. *Koku* — ziemia. *Kjo* — stolica. *Ko* — plac. *Hama* — wybrzeże. *Kuro* — czarny. *Naga* — długi. *To* — wschód. *Sai* — zachód. *Mi* — wysoki. *Szima* — wyspa. *Wan* — zatoka.

Przeto: Naga-saki = długi przylądek, To-kio = stolica wschodnia, Sai-koku = zachodnia ziemia, Kuro-szima = czarna wyspa, Sai-wan = zachodnia zatoka. Dla wprawy mogą czytelnicy robić jeszcze inne kombinacye, równie zajmujące, aż się dobrze nauczą tych obu języków.

Temperatura dnia 29 sierpnia o godz. 7 rano wynosiła: w Galicyi zachodniej +14, we Lwowie +15, w Tarnopolu +16, w Czerniowcach +16, w Wiedniu +15, w Salcburgu +10, w Gracu +15, w Pradze +13, w Tryeście +22, w Abbazyi +22, w Raguzie +24, w Budapeszcie +19, w Berlinie +13, w Hamburgu +13, w Monachium +10, w Zurychu +12, w Genewie +15, w Lugano +17, w Anglii +13, w Paryżu +13, w Biarritz +17, w Nizzy +13, w północnych Włoszech +18, we Florencyi +22, w Rzymie +24, w Neapolu +22, w Palermo +25, w Madrycie +18, w Sztokholmie +12, w Petersburgu +8, w Wilnie +12, w Warszawie +13, w Moskwie +7, w Kijowie +13, w Odessie +22, w Serajewie +22, w Belgradzie +22, w Bukareszcie +24, w Sofii +18, w Konstantynopolu +24, w Atenach +24. (Temperatura według Celsiusza).

Deszcze w całej Europie z wyjątkiem Hiszpanii, południowych Włoch i półwyspu Bałkańskiego.

Stan powietrza. T. o g. 7 rano + 14 R. w poł. + 10 R. Bar. 758. Idzie w górę. Deszcz.— Silny wicher północno-zachodni.

Wyznanie.

— Widzę, że pani się nudzi, a ja, aby ją rozweselić, poszedłbym na koniec świata...

— To dlaczegóż pan ciągle przy mnie siedzi?

Widowiska i koncerty.

Repertuar teatru miejskiego. Dziś: „Moloch," w 4 epizodach z życia, napisał Wład. Zalewski. — W piątek „Sztygar," operetka K. Zellera.— W sobotę „Ludka," krotochwila Piotra Vebera. — W niedzielę „Taksator," operetka C. M. Ziehrera.

Colosseum Hermanów. Od 1-go września *Księżna Yvonne de Mayrenna* ze swoimi cudownie tresowanymi *3 słoniami* i 10 sensacyjnych atrakcyj. W niedzielę i święta dwa przedstawienia: o godz. 4 pop. i 8 wieczorem.

Głosy publiczności.

Podziękowanie. Upoważniliśmy WP. Sokołowskiego, właściciela ajencyi we Lwowie, pasaż Hausmana 9, do zbierania wkładek od członków „Towarzystwa prywatnego gimnazyum realnego w Zakopanem". WP. Sokołowski podjął się bezinteresownie tej czynności, zaznaczając w piśmie swem do nas, że „wobec celu, jaki ma otwarcie gimnazyum, chce się przyczynić pracą koło zebrania funduszów" i zrzeka się wynagrodzenia Mu przyobiecanego. Za tę szlachetność i niezwykłą bezinteresowność składamy WP. St. Sokołowskiemu serdeczne podziękowanie.

Imieniem inicyatorów Towarzystwa: *prof. Świderski.*

Zakopane, dnia 30 sierpnia 1905.

Z izby sądowej.

Lwów, 31 sierpnia.

(Terorystyczna agitacya).

Dziś o 12 w południe podjęto w dalszym ciągu rozprawę karną przeciw Borkowskiemu oskarżonemu o gwałt i wymuszenie, popełnione na robotniku Koralewiczu, który podczas ostatniego strejku budowlanego pracował u pp. Deca i Draniewicza jako dozorca budowy.

Koralewicz zeznał stanowczo, że Borkowski powiedział do robotników, którzy przyprowadzili Koralewicza przemocą do robotniczego stowarzyszenia przy ulicy Ossolińskich: „dajcie mu pięć łagodnych buków, niech się nauczy z nami strejkować!" Koralewicz jednak nie może stwierdzić, kto go bił; zdaje mu się, że bił go Borkowski, podczas gdy trzymali ludzie nieznani.

Żona Koralewicza uchyliła się od świadectwa w sprawie męża.

O godzinie ¾ na 2 popołudniu rozpoczął mówić obrońca oskarżonego dr. Solański.

Wyrok zapadnie dziś.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 29 sierpnia.

(Z). W Paryżu zastrzelił się jeden z największych przemysłowców cukrowych Cronier, naczelny dyrektor akcyjnej fabryki cukru firmy Say, będącej największem tego rodzaju przedsiębiorstwem nie tylko we Francyi, ale w całej Europie. Kapitał akcyjny rafineryi Say'a wynosi 38,000.000 franków, nadto wypuściła ona obligacyi na 30 milionów. Dzienny zysk tej fabryki obliczono na 10—15.000 franków. Wczorajszy kurs giełdowy akcyi rafineryi Say'a wynosił w Paryżu 950 franków, dziś zaś gdy rozeszła się wiadomość o samobójstwie Croniera spadł od razu na 580. Powodem samobójstwa tego człowieka, który w ogólnoeuropejskim przemyśle cukrowym odgrywał kierującą rolę, są nieudałe spekulacye giełdowe podobno nie tylko na cukrze, ale także w afrykańskich akcyach kopalń złota.

Wypadek ten wywołał na wszystkich rynkach cukrowych ponowne wstrząśnienie, o wiele gwałtowniejsze, niż niedawne bankructwo Jaluzota. W sprawie tej interesowany jest żywo także austryacki przemysł cukrowy. Fabrykanci austryaccy utrzymują mianowicie, że ostatnie ogólno-światowe podniesienie cen cukru było głównie dziełem Croniera, który powołał do życia potężny kartel francuskich fabrykantów cukru. Skutkiem tej podwyżki cen, która wedle wszelkiej rachuby prawdopodobieństwa wydawała się być trwałą, pozawierali austryaccy fabrykanci cukru z dostawcami buraków nowe umowy, w których przyznali im wyższe ceny za buraki, obecnie zaś z powodu grożącego nowego spadku cen cukru, narażeni są na olbrzymie straty. Przywykliśmy zawsze słuchać samych tylko lamentów baronów cukrowych, to też trudno ocenić, czy obecnie zasługują na współczucie, czy też wylewają tylko krokodyle łzy. Bądź co bądź jednak szerokie masy ludności odnoszą wielkie korzyści z tych kataklizmów, powodujących obniżenie cen cukru. Od czasu bankructwa Jazulota potaniał cukier i w Austryi o 6 halerzy na kilogramie, a życzyćby sobie należało, aby jeszcze dalej taniał.

Rosnące szanse rychłego zakończenia wojny między Rosyą a Japonią powodują znaczny spadek ceny srebra. Obecnie bowiem zarówno Rosya i jak i Japonia potrzebowały ogromnych ilości monet srebrnych, by płacić niemi ludności chińskiej za zakupione na potrzeby swych armii przedmioty, w Chinach zaś, jak wiadomo, jest waluta srebrna. W razie zakończenia wojny ustaną także te zakupna, zmniejszy się więc kolosalnie zapotrzebowanie srebra.

Norymberga 28 sierpnia 1905. Dzisiejszy targ rozpoczął się w mdłem usposobieniu, chociaż dowóz chmielu był bardzo skromny. Wprawdzie przez to był brak wyboru. Ceny też spadły w stosunku do przeszłego tygodnia. Galicyjski płacono 80—85, Tettnaugski 65—72, Hallertauer 68—80, Badeński 68—72 marek. Styryjski i Zatecki: brak dowozu. Ogólne usposobienie jest oczekiwanie jeszcze niższych cen. *Paweł Seelenfreund.*

Norymberga 29 sierpnia 1905. Dziś pierwszy raz w tym sezonie, dowóz liczył 500 beli, sprzedano je w ciągu przedpołudnia od 55 do 80 marek za 50 kilo. Na pojutrze spodziewają się najmniej podwójnego dowozu. Galicyjskiego dziś całkiem na targu nie było, zapewne wkrótce wagonami, a nie jak dotychczas pocztą nadejdzie. Usposobienie jest o wiele lepsze niż wczorajsze.

Paweł Seelenfreund.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze poranne)

Poznań. Były starszy prezydent miasta Poznania Wilamowitz-Moellendorf, który przed kilku dniami spadł z konia, zmarł wczoraj.

Wiedeń. Nieustająca komisya przemysłowa ukończyła wczoraj ogólne obrady nad przymusowymi egzaminami majsterskimi i przystąpiła do szczegółowej rozprawy.

Romeno. Wczoraj przedpołudniem zakończyły się tutaj manewry cesarskie.

Wiedeń. Obserwacye wczorajszego zaćmienia słońca nadzwyczaj się udały z powodu pięknej pogody. W tutejszem obserwatoryum astronomicznem dokonano kilku dobrych zdjęć fotograficznych.

Budapeszt. Prezydent ministrów Fejervary będzie w piątek na posłuchaniu u Cesarza.

Berlin. *Reichsanzeiger* donosi o urządzeniu 16 miejsc kwarantanny nad Wisłą i jej dorzeczem, celem nie dopuszczenia do Niemiec cholery. Do dnia wczorajszego wydarzyło się 20 podejrzanych wypadków zachorowania, z czego w 12 wypadkach stwierdzono bakteryologicznie cholerę. Sześciu chorych zmarło. Wszystkie wymienione wypadki zdarzyły się u przybyłych z Rosyi flisaków.

Niżny Nowogród. W fabrykach sormowskich, które były dotąd z powodu niepokojów zamknięte, podjęto ruch na nowo.

Tanger. Przybył tu wczoraj osobny kuryer sułtana z wiadomością o wypuszczeniu na wolność algierskiego poddanego Bu-Mziana. Wobec tego zatarg francusko-algierski uważać należy za załatwiony.

(Depesze popołudniowe)

Ischl. Cesarz powrócił o godz. pół do 8-mej rano z Tyrolu.

Zakopane. Wczoraj popołudniu odbyło się doroczne walne zgromadzenie akcyonaryuszy „Sanatoryum chorób piersiowych". Przewodniczył dr. Dunin z Warszawy. Wśród uczestników był jeden z głównych założycieli Sanatoryum, Ignacy Paderewski. Dyrektor Dłuski przedłożył drukowane sprawozdanie lekarskie, wykazujące pomyślne skutki leczenia chorych w Sanatoryum, oraz zwiększone zaufanie chorych, przybywających z wszystkich stron Polski, a nie mniej z zagranicy. Zebranie przyjęło jednogłośnie zamknięcie rachunkowe, udzieliło dyrekcyi absolutoryum, oraz zatwierdziło budżet na rok bieżący. Dyrektor Dłuski przy budżecie zaznaczył dokonanie w ostatnich miesiącach różnych nowych, znacznych ulepszeń sanitarnych.

Po dyskusyi, w której zabierali głos lekarze, jako też Paderewski i inni akcyonaryusze, uchwalono wyrazić dyrekcyi uznanie za przeprowadzenie nowych ulepszeń sanitarnych. Stwierdzono pomyślny finansowy stan Zakładu z powodu stale wzrastającej liczby pacyentów. Członkiem rady nadzorczej wybrano Ordynata hr. Franciszka Potockiego. Na zakończenie przewodniczący dr. Dunin wyraził najgorętsze podziękowanie dr-owi Dłuskiemu oraz dr-ce Dłuskiej za znakomite, tak dodatnie pod względem leczniczym prowadzenie sanatoryum. Na wniosek Paderewskiego wyrażono dr-owi Duninowi podziękowanie za przewodnictwo.

Paderewski cieszy się obecnie najlepszem zdrowiem. Powraca wkrótce do Szwajcaryi i nie zamierza obecnie przedsięwziąć żadnej podróży artystycznej.

Kraków. Przed trybunałem orzekającym rozpoczęła się dziś rozprawa o kradzieże, dokonywane przez konduktorów w wagonach kolejowych. Na ławie oskarżonych zasiedli konduktorowie: Józef Sredniawski, Bolesław Krasuski. Kazimierz Bierzuchowski, Józef Żbik, Józef Drodźdż, Karol Hałatek. Wezwano 24 świadków. Obrońcy uczynili wniosek powierzenia rozprawy sądowi przysięgłych, jako jedynie kompetnnemu, gdyż wartość skradzionych przedmiotów przewyższa kwotę 600 kor. Wniosek ten trybunał odrzucił.

Rozprawa potrwa 3 dni.

Ottawa. Rząd kanadyjski zaprosił w serdeczny sposób delegatów pokojowych, aby w powrocie do ojczyzny odwiedzili Kanadę.

Londyn. *Standard* dowiaduje się, że głównym punktem zawartego między Anglią a Japonią traktatu, jest utrzymanie *status quo* w Azyi. Oba państwa zobowiązały się do wzajemnej pomocy w tym celu.

Paryż. Prezydent Loubet zaraz po otrzymaniu wiadomości o pokoju, wysłał telegramy gratulacyjne do cara, mikada i prezydenta Roosevelta.

Oysterbay. Roosevelt wystosował do bar. Komury prośbę, aby ten wyraził cesarzowi japońskiemu życzenia z powodu okazanej przez cesarza japońskiego mądrości i wielkoduszności.

Paryż. *Matin* dowiaduje się z Oysterbay: Sądzą, że nagłą zmianę stanowiska Japonii spowodowało to, iż Chiny odstąpić mają Japonii kolej Hankau-Kanton, posiadającą wielkie znaczenie.

Wiedeń 31 sierpnia. (Giełda towarowa). Cukier 18·75—18·85 (spokojnie), na październik i grudzień 19·35—19·45. — Spirytus: 38·40—38·80 (bez zmiany). — Nafta galicyjska bez zmiany.

Berlin 31 sierpnia. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·30. Spirytus 00·00.

Paryż 31 sierpnia. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 99·85. — Mąka („Fleur de Paris") 29·00.

Frankfurt 31 sierpnia. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 212·10. Koleje państwowe 000·00 exclusive kupon. Alpiny 144·80 Disconto 194·60. — Laura 265·50. — Usposobienie silne.

Budapeszt 31 sierpnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i za 100 kilogramów). Pszenica na październik 15·90—15·92, na kwiecień 1906 r. 16·50—16·52; żyto na październik 12·94—12·96, na kwiecień 1906 r., 13·56—13·58; owies na październik 12·04—12·06, na kwiecień 1906 r. 12·66—12·68; kukurudza na sierpień 00·00—00·00, na wrzesień 00·00, na maj 1906 r. 13·38—13·40. — Rzepak na sierpień 00·00—00·00. — Oferty na pszenicę: mierne. Chęć kupna: dobra. — Usposobienie: silne. — Pogoda:

Lwów 31 sierpnia. (Z izby handlowej).
Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika po 400 Koron —.— do —.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 580.— do 586.—. Banku hipotecznego po 200 złr. 568·00 do 578.00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do —·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron — 820 Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. do 260·—.

Listy zastawne za 100 K.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 111·50 do 000.00, 4 i pół proc. los w 50 lat 101.80 do 102·00, 4 proc. los w 60 lat 99·00 do 99·70 Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 101.50 do 102.20. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 99·80 do 100.50 Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 99.80 do 00·00, 4 proc. los w 41 i pół latach 99·80 do —·—, 4 proc. los w 56 lat 99·80 do 100·50

Oblig. za 100 K.: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 99.80— 100·50 Bukowińskiego fund. prop. 5 proc. 102.80 do —.—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II em.) 101.50 do 000.00 Komun. Banku kraj. 4 i pół proc. (3iej emisyi) 101.50 102.20. Komun. Banku kraj. (4-ej em.) 99.50 do 100.20. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 99.50 do 100.20. Pożyczki kraj. z roku 1873 4½ proc, —.— do —.—. 4 proc. z 1893 r. 99.50—100.20 miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 98.40 do 00.00 ½% po 200 koron 101.10 do 101.80.

Ruch pociągów kolejowych.

ważny od 1 maja 1905 według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31*, 1.30, 8.40***. 6.00, 8.50, 5.25, 9.50*
Z Rzeszowa: 10.35.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2.30**. 7.20, 11.55 5.80, 10.20*; na Podzamcze: **2.15**, 7.00, 11.84, 5.15, 10.02*.
Z Czerniowiec: **12.20***. **1.40**, 6.10, 5.45, 9.10*.
Z Kołomyi: 10.05.
Z Stanisławowa 8.05.
Z Rawy i Sokala: 7.50.
Z Jaworowa: 8.18, 4.32.
Z Sambora: 6.15, 1.50, 9.20*.
Z Ławocznego 7·29, 11·45, 10·50*.
Z Tuchli 3·45 (od 15|6 do 30|9).
Z Bełzca 5·00.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45*, 8.25, 2.50**, 4.15*, 8.35, 6.35*. 11.00*
Do Rzeszowa: 4.10.
Do Podwołoczysk z dw. głów.: **2.00**, 6.30, 10·55, 9.00*, 11.05*; z Podzamcza: **2.13**, 6.48, 11.15, 9.28*, 11.24*.
Do Czerniowiec: **2.51***, **2.40**, 6.15, 9.20, 10.40*.
Do Stryja: 11.10*.
Do Rawy i Sokala: 7.30*.
Do Jaworowa: 6.55, 5.58.
Do Sambora: 9.00, 4.20, 10.55*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 5.50.
Do Przemyśla, Chyrowa: 10.05* (od 1/5 do 30|9).
Do Ławocznego 7.30, 2.55, 6.25*,
Do Bełzca 11.10.

Pociągi lokalne.

Przychodzą do Lwowa:

Z Brzuchowic: (od 14 maja do 10 września) 6.50, 7.50. 9.5*, przedpołudniem, tylko w niedziele i rz. kat. święta, 1.46, po południu, tylko w niedzielę i rz. kat. święta 3.05, 4.16 5.00, 7.41*, 8.55* (od 14|5 10|9 włącznie).
Z Janowa: 8.18, 1.15, (od 1|5 do 30|9) 4.32, 8.45* (od 14|5 do 10|9) 9.25* (od 14|5 do 10|9 w niedziele i święta).
Ze Szczerca: 10.10* (od 1|6 do 10|9 w niedziele i święta)
Z Lubienia W.: 11.52* (od 14|5 do 10|9 w niedz. i święta).

Odchodzą ze Lwowa:

Do Brzuchowic: (od 14 maja do 10 września) 5.50*, 8.30, (tylko w niedziele i rz. kat. i święta); 12.30. popołudniu (tylko w niedziele i rz. kat. święta) 2.10, 3.20, 6.10; 7.30*, 7.55*.
Do Janowa: 6.55, 9.15, (od 1|5 do 30|9) 1.35 (od 14|5 do 10|9 w niedziele i rz. kat. święta), 3.08, (od 14 maja do 10 września) 5.58.
Do Szczerca: 1.55 (od 1|6 do 10|9 w niedzielę i święta).
Do Lubienia W.: 2.15 (od 14|5 do 10|9 w niedz. i święta).
Do Rawy Ruskiej 11·15* (każdej niedzieli).

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

18)

Prawdziwa miłość.

(Z francuskiego.)

(Ciąg dalszy.)

Nie domyślała się, że i Sénac miał swoją policyę tajną, która uwiadamiała go dokładnie, o wszystkiem, co się działo. Nie mógł jednak spenetrować najciekawszej dla siebie rzeczy: myśli panny de Quilliane; co powiedziała Klotylda łatwo zapalnemu Quillianowi? co przed nim zataiła? Nie wątpił bowiem ani na chwilę, znając ich obojga, iż zadzierżgała się pomiędzy niemi miłosna intryga.

W pierwszą niedzielę po przybyciu do Luksoru, Albert znalazł się w kaplicy misyonarzy włoskich, gdy ksiądz wyszedł ze mszą.

Z jednej strony pewien był, że Teresa przybędzie na nabożeństwo, jak to istotnie nastąpiło, z drugiej nie obawiał się, aby paryżanki wstały tak wcześnie.

Po skończonej mszy, podszedł do kropielnicy, aby ofiarować święconą wodę pannie de Quilliane i mistress Crowe.

— Widzę — odezwała się młoda osoba — iż rozpocząłeś pan dzień, jak na chrześcijanina przystało, musisz go też skończyć, jak człowiek cywilizowany. Nie zapomniałeś pan zapewne, że jesteś jednym z pasażerów „Nephtysu?“

Zdziwiony szczęściem, jakie go spotykało:

— Nic nie zapomniałem — odpowiedział — i gdybym był pewien, że nie zostanę ukarany, jako dezerter, przyszedłbym na śniadanie. Czy Krzysztof będzie dzisiaj?

— I czemużby nie miał być?

— Wiem — odpar Sénac z pewnem zakłopotaniem — wiem, że nie dotrzymuje paniom towarzystwa.

— Pan wiesz o tem? — podchwyciła Teresa, patrząc na niego badawczo.

Wytrzymał spojrzenie tych czystych i głębokich oczu i odparł głosem poważniejszym, niż słowa:

— Czyż sądzisz pani — że mumie, które obrałem sobie za towarzyszki, odejmują mi wspomnienie o żywych ludziach? Czuwam nad panią bardziej może, niż sądzisz. Nieraz, podczas gdy spałaś, byłem na wybrzeżu, stosownie do obietnicy, spełniając mój obowiązek stróża.

Panna de Quilliane milczała, wzruszona mimowoli; on patrzał w nią, jak w tęczę.

— Czekamy pana o dwunastej — rzekła, przerywając pierwsza milczenie.

Obiecał lekkiem nachyleniem głowy i rozstali się do oznaczonej godziny.

Podczas śniadania jeden tylko Quilliane był rozmowny; opowiadał wiele o przepychu „la Topaze“, o gościnności, jaką tam znajdował, o wdzięku kobiet i uprzejmości ich mężów.

— Postępowanie obojga was — mówił do siostry i przyjaciela — jest wysoce niegrzecznem. Stawiacie mnie w najfałszywszem położeniu. Ci państwo dopytują się o was ustawicznie. Odmalowuję im wprawdzie ciebie, jako oryginała, zakochanego w stuwiekowych mumiach, ciebie zaś, jako nawpół zakonnicę, uwędzoną w modlitwie, jak szynka w dymie, tem niemniej wygląda to tak, jak gdybyście pogardzali tymi ludźmi.

Albert zrozumiał, iż Klotylda zachowała dyskretne milczenie.

— Co się mnie tyczy — odparł — nie pogardzam nikim. Codzień w wycieczkach moich zdarza mi się spotykać takich jak ja, turystów. Czyż ich także pomawiasz o niegrzeczność, dlatego, iż nie składają wizyt pasażerom z „Topazu?“

— Ha! jeśli się chcesz porównywać z Anglikami... — odburknął Quilliane. — Ale nie mówmy o tobie. Siostra moja, o ile mi się zdaje, powinna wizytować panią Lassavielle.

Teresa miała oczy spuszczone na talerz. Oczekiwała widocznie, aby Albert wypowiedział zdanie swe w tym przedmiocie.

— To nie zobowiązuje do niczego — odezwał się po chwili.

— Ponieważ mam przeciwko sobie większość głosów — odparła z westchnieniem — jutro pójdę do tych pań.

— I czemuż nie dziś? — nalegał Krzysztof.

— Nie składam wizyt w niedzielę — brzmiała stanowcza odpowiedź.

Zaraz po czarnej kawie, Quilliane opuścił „Nephtys“ i przyznać należy, iż reszta towarzystwa rada była z tego.

Albert postanawiał wprawdzie, iż pożegna niebawem Teresę, lecz ociągał się; pomimowoli ogarniało go słodkie rozrzewnienie. Nigdy jeszcze, tak jak w tej chwili nie oceniał wszelkich wygód i powabów „Nephtysu“: od miękkich siedzeń, wytwornego jadła, do poczciwej twarzy mistress Crowe, a nadewszystko nieoszacowanem było mu to światło, spokój, pogodzenie z życiem, za któremi gonił na kraniec świata, a które znalazł tutaj, na tej cichej barce, w uśmiechu Teresy de Quilliane, w jej oczach szczerych i głębokich.

To styczniowe popołudnie, opromienione lipcowem słońcem, przeszło, jak sen rozkoszny, od czasu do czasu mącony odgłosami świata rzeczywistego.

Po sto razy Albert zapominał o przepaści, jaka go dzieliła od tej niebiańskiej istoty. Po sto razy, widząc, iż buja w krainie niedozwolonych marzeń, dziewica poważniejszem słowem lub smutnym uśmiechem wskazywała mu, że nie należy już do tej ziemi.

Znajdowała mistyczną rozkosz w zrywaniu kwiatów odradzającej się wciąż ludzkiej czułości: plotła z niej wieńce dla Boskiego swego oblubieńca.

Lecz róże nigdy nie są tak wonne, jak gdy je zetnie okrutna ręka...

Nagle promień złota i purpury wkradł się pod namiot „Nephtysu“.

Słońce rozognioną swą tarczą zawisło na wierzchołkach wzgórz Libijskich. Światło to, niby aureolą, otoczyło głowę Teresy. Zapatrzony w nią Sénac, urwał w pół zdania.

Czuł, iż w chwili tej zrywa na zawsze z przeszłością, że wielkie, głębokie uczucie owłada jego sercem. Choćby nawet miało je złamać ponownie, o ileż rana taka byłaby szlachetniejszą od pierwszej!

Nagle na pomoście „Nephtys“ rozległ się odgłos kroków, w tejże niemal chwili ukazał się zdyszany margrabia.

— Melduję ci odwiedziny — rzekł, zwracając się do siostry. — Te panie, nie chcąc ci się dać wyprzedzić, idą za mną. Mohamed! Antonio! Franciszek! lampy! pochodnie! uporządkujcie tu zaraz! Do dyabła z taką załogą! Nasz yacht wygląda raczej na rozbójniczy statek!

Panna de Quilliane powstała zimna, imponująca. Zaszczyt, jaki ją spotkał, nie sprawiał jej widocznie przyjemności. Patrzała na brata ze zdziwieniem, niezadowoleniem prawie. Dziwiły ją te rozkazy, stosowne w ustach zbogaconego parweniusza, pragnącego przedstawić się w świetle korzystnem.

W chwili największego porządkowania, Paryżanki postawiły drobne swe nóżki na pomoście.

Towarzyszyło im dwóch mężczyzn; jeden z nich: młody, przystojny, zręczny i uśmiechnięty był bogatym Lassavielem; drugi przysadkowaty, niezgrabny, biednym Questembert'em.

Krystyan poznajomił wzajemnie towarzystwo.

Panowie znaleźli, iż Teresa jest bardzo piękną, ale nie dość uprzejmą. Tym paniom podobał się dystyngowany jej układ, lecz spostrzegły odrazu, że ubrana jest po staroświecku.

Zajmując siedzenia, rozglądały się naokoło, łatwo było poznać, iż kogoś szukają. Lecz ten „ktoś“ niepostrzeżenie opuściwszy „Nephtys“, podążał co rychlej w stronę pustyni, mrucząc jakieś słowa niezrozumiałe, a niezbyt pochlebne dla nowoprzybyłych.

— Sénac! Albercie! Gdzież się podział? Przed chwilą był tutaj — wołał margrabia, nie spostrzegając, iż mówi głupstwo.

Paryżanki zamieniły porozumiewające spojrzenia. Panna de Quilliane usiłowała wszcząć rozmowę, lecz szła ona z trudnością. Margrabia był nieswój, Teresa zmięszana, po raz pierwszy w życiu.

Wszystko ją raziło: zbytnia poufałość tych panów, ekscentryczne stroje ich żon, ich źle ukryta ciekawość i złośliwe uśmiechy.

Na dobitek, pani Lassavielle skorzystała z pauzy w rozmowie, aby wtrącić słówko o czwartym pasażerze „Nephtysu“.

Teresa musiała przedsięwziąć jego obronę, gdyż brat jej, dotknięty do żywego zniknięciem Alberta, nie chciał go już nawet tłómaczyć.

— Zdaje mi się — mówiła — iż p. de Sénac w ciągu długich swych podróży odwykł od towarzystwa. Zapalony z niego eksplorator. Znikł natychmiast po zawinięciu „Nephtys“ do Luksoru i dopiero dziś, przy niedzieli, odwiedził nas na chwilę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny **Wacław Masłowski.** — Papier z fabryki Braci Fiałkowskich. — Z drukarni E. Winiarza.